Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 18 stycznia 1948 r. | Nr 3 (112)

Witold Bieńkowski

Wstęp do rozważań o „Drugim brzegu"

Przy badaniu historii społecznych ruchów katolików polskich na specjalną uwagę zawsze zasługują te, które w trudnych psychicznych warunkach polskich potrafią wywalczyć prawo obywatelstwa dla nowych form realizacyjnych zawsze tej samej doktryny.

Problematyczność takich „sukcesów" była jednak bardzo wyraźna. Dotyczą one bowiem więcej politycznej strony zagadnienia, niż istotnego postępu i rozwoju katolickiej myśli społecznej. Nawet te przedwojenne szczere próby, z którymi miałem możność się zetknąć, a które usiłowały wywołać ruch dołów społecznych, dążący do radykalnego realizowania społecznych zasad katolickich, — operowały raczej schematem polityczno - organizacyjnym, a nie siłą wewnętrznego ognia rewolucjonistów in spe.

Przy tym stanie rzeczy za jedyną formę sukcesu mogą być uznane częściowo udane próby usamodzielnienia społeczno- i polityczno - organizacyjnego, jakie społecznicy katoliccy w ostatnim dziesięcioleciu podejmowali. Stało się faktem polityczne usamodzielnienie nowych społecznych ruchów katolików polskich, powstał precedens wszechstanowej i ponadpartyjnej pracy politycznej. Dokonało się to w okresie okupacji. Wartością tego sukcesu nie są jakieś specjalne osiągnięcia polityczne, ale zasadnicze przemiany w społecznym i politycznym myśleniu katolików polskich, o których to przemianach był stale informowany Episkopat polski i nawet Rzym.

O tych przemianach, które z pełną odpowiedzialnością nazywam sukcesem w społecznym myśleniu katolików polskich, trzeba dzisiaj, specjalnie dzisiaj, informować. Nie da się bowiem zrealizować żadnych planów społeczno - politycznych bez dania miejsca, lub „rozprawienia się" w sposób zasadniczy z tą szkołą społecznego myślenia katolików, która faktycznie i praktycznie zerwała z jakimikolwiek monopolami partii politycznych na katolicyzm, widząc możność społecznego realizowania zasad katolickich w odrodzeniu moralnym każdego katolika, co na odcinku politycznym może i musi się wyrażać w między i ponad - partyjnej działalności.

Jest w tym coś ze szkoły Akcji Katolickiej. I nie może być inaczej. Działacze katoliccy „Unii", czy Frontu Odrodzenia Polski („F. O. P.-u"), z tej właśnie szkoły wynieśli zasady właściwego politycznego organizowania społeczeństwa katolickiego w Polsce.

Toteż z jakichkolwiek obecnych usiłowań organizacyjnego ustawienia obozu katolickiego w Polsce nie da się już wyeliminować głoszonych przez Akcję Katolicką zasad:

1) prymatu aktywności katolików świeckich w katolickim formowaniu „porządku przyrodzonego";

2) wszechstanowości i bezpośredniego przenikania w działaniu poprzez wszelkiego rodzaju przekroje układu społeczno- i polityczno - organizacyjnego.

Należy i można to już nazwać, po praktycznym i faktycznym częściowym osiągnięciu wyników realizacyjnych — nową drogą, wiodącą ku „drugiemu brzegowi" (określenie „Unii") kształtującej się w świecie nowej rzeczywistości.

* * *

Czas okupacji był najbardziej sprzyjającym okresem dla oderwania społecznych ruchów katolików polskich od „oficjalnych" politycznych przedstawicielstw tych ruchów. Okres krańcowego rewizjonizmu (1939 — 1940), który odpowiedzialnością za klęskę obarczał wszystkie, czynnie czy biernie, zaangażowane we współodpowiedzialności politycznej przedstawicielstwa społeczne — zniszczył zaufanie do autorytetów. Troska o utrzymanie moralnej praworządności w społecznym życiu narodu wyrażać się musiała w pierwszym okresie okupacji w scalaniu poszczególnych licznych inicjatyw, przybierających różne formy organizacyjne, a służących jednemu celowi.

Jest znamienne i w dalszym ciągu dla obecnego życia katolików niezmiernie ważne, że w pierwszych latach okupacji najwyraziściej uwidocznił się zwrot ku społecznym zasadom katolickim, jako jedynej niepodważonej w ogólnym kryzysie zaufania podstawie nowego, odrodzeńczego koncepcjonowania społecznego. Nawet takie organizacje, które nie zdały egzaminu społecznego, lub wręcz w swych górach organizacyjnych dopuściły się z czasem zdrady sprawy narodowej, swój rozrost w 1939 czy 1940 r. zawdzięczały głoszonym hasłom katolickim. Wystarczy wymienić K. O. P. („Komenda Obrońców Polski"), najsilniejszą liczebnie i organizacyjnie w 1940 r. organizację wojskowo - niepodległościową, czy „Miecz i Pług" w okresie do aresztowania ś. p. Ks. Peplau'a (czerwiec 1940 r.) — aby zrozumieć, że tylko katolicki ton konspiracyjnego tygodnika „Polska żyje", głównego organu propagandowego K. O. P.-u lub oparcie przez ks. Peplau'a zrębów organizacyjnych „Miecza i Pługa" w pewnej mierze na szeregach „Iuventus" mogło dać rezultaty w tym czasie większe, niż bardzo wolno i z oporem skupiająca rozproszone szeregi akcja przedwojennych organizacji społecznych i politycznych. Gdy nie było jeszcze mowy o żywotności na szerszą skalę Stronnictwa Narodowego czy Stronnictwa Pracy, gdy kierowany przez elementy sanacyjne Z. W. Z., już posiadający uprawnienia i zlecenia rządu emigracyjnego w Angers, szukał oparcia w terenie — nowe organizacje niepodległościowe podejmowały konieczne próby politycznego, oficjalnego uznania Angers dla faktycznie zorganizowanego terenu. Moje kilkakrotne w 1940 roku spotkania, jako redaktora „Polska żyje" z „Białynią" (płk. Rzepeckim), ówczesnym szefem propagandy Z. W. Z., pozwalały mi na zorientowanie się w ogromnej różnicy, jaka na niekorzyść propagandy Z. W. Z. istniała w zasięgu terenowym.

Wspomnienia z tego okresu pracy mają dla mnie tylko jedno poważniejsze znaczenie: — pozwalają na ugruntowanie przeświadczenia, że w okresie największego nawet kryzysu zaufania społeczeństwo polskie otwiera kredyt dla wszelkich akcji w imię katolickich zasad podejmowanych.

Cała reszta wspomnień tego okresu nie liczy się rzeczywiście. Chyba tylko w tym sensie, że kredyt społeczeństwa może być nadużyty przez ludzi niewypłacalnych moralnie. Słabe efekty walki z komendantem K. O. P.-u „Czarnym" — Boruckim, prowadzonej przez Zofię Kossak i przeze mnie nie tylko o katolicką linię propagandy, ale o katolickie zasady działania, całkowite zerwanie stosunków po śmierci ks. Peplau'a z późniejszym sprzedawczykiem Anatolem Słowikowskim, kierownikiem „Miecza i Pługa", pozorne jakoby zaprzepaszczenie dorobku pierwszego półtorarocza okupacyjnego — nie było klęską budzącej się do samodzielnego politycznego życia katolickiej myśli społecznej.

„W polityce liczą się tylko błędy" — powiedział mi znacznie później, bo w 1942 r., gen. Grot - Rowecki, sprowadzając zagadnienie, jak dzieje się to zwykle u polityków małej klasy, do istnienia lub braku natychmiastowych efektów. „W polityce liczą się tylko osiągnięcia" — mogę odpowiedzieć teraz, mając na myśli wyłom, dokonany podczas pierwszego półtorarocza okupacji w tradycjonalistycznym wiązaniu politycznej postawy katolików z ustalonymi partiami klasycznej, przedwojennej prawicy politycznej.

* * *

Gdyby to, co piszę, miało być wstępem do pamiętników, specjalny rozdział musiałbym poświęcić wspomnieniu z lat młodzieńczych. Wspomnieniu „sądów", jakie w sierpniu 1920 r. odprawiał nade mną 80-cioletni Kanonik Walichnowski w Górze Kalwarii za ściąganie cygar i wkupywanie się nimi w łaski sierżanta Bielczyka, by uzyskać pozwolenie walenia seriami karabinu maszynowego w sennie płynącą Wisłę.

Scena tych „sądów" dziadka Walichnowskiego jest dla mnie dziwnie symptomatyczna. Z „sądami" bowiem spotykam się przez całe życie. Każde „niepokojące serie" wywołują protesty i sprzeciwy. Co jednak najdziwniejsze: — w każdym salonie, pokoiku, czy brudnym konspiracyjnym zakamarku, gdzie odbywały się „sądy" czułem atmosferę wielkiego dziadkowego gabinetu o nagromadzonym przez lata zapachu dobrych cygar, spokojnego dosytu i drzemiącej po kątach obawy przed zdarzeniami zakłócającymi spokój.

Najłatwiej jest mi szeregować lata pracy wspomnieniami „sądów". „Łomżyńska rozmowa" z gen. Józefem Hallerem i płk. Modelskim, przedział w wagonie kolejowym z ks. Bi-

Wytyczne

* * *

„Jestem chrześcijaninem, tj. wierzę w boskość Jezusa Chrystusa, tak jak wierzy w nią: Tycho Brahe, Kopernik, Kartezjusz, Newton, Fermat, Leibnitz, Pascal, Grimaldi, Euler, Guldin, Boscovich, Gerdil; wierzę, tak jak wierzyli wszyscy wielcy astronomowie, wszyscy wielcy fizycy, wszyscy wielcy matematycy wieków ubiegłych. Jestem też katolikiem jak większość wymienionych, a gdyby zapytano mnie o przyczynę tego, to ujawniłbym ją chętnie. Przekonano by się wówczas, że wierzenia moje wypływają nie z przesądów odziedziczonych, lecz z badań głęboko sięgających. Jestem katolikiem szczerym, jak Corneille, Racine, La Bruyere, Bossuet Bourdaloue, Fenelon, jak była i jest za naszych czasów znaczna liczba mężów najwybitniejszych spośród tych, którzy najwięcej honoru przynieśli wiedzy ścisłej, filozofii i literaturze, którzy stanowią ozdobę największą Akademii naszych. Podzielam to samo przekonanie głębokie, jakie ujawnili słowem, czynem i pismem uczeni pierwszorzędni: Ruffini, Haüy, Laënnec, Ampere, Pelletier, Freycinet, Coriolis. A jeżeli żyjących nie wymieniam dla uszanowania ich skromności, to mogę conajmniej powiedzieć, że znalazłem całą szlachetność, całą wspaniałość wiary chrześcijańskiej wśród światłych przyjaciół moich: twórcy krystalografii (Haüy), wynalazcy chininy i stetoskopu (Pelletier i Laënnec) w słynnym żeglarzu na pokładzie „Uranii" i nieśmiertelnym twórcy elektryczności dynamicznej (Freycinet i Ampere)".

Ludwik Cauchy (1789 — 1857).

skupem T. Zakrzewskim i ks. Waldmanem, konspiracyjne zebranie ziemian u Władysława Sobańskiego na Chocimskiej w Warszawie, zebranie w gabinecie ks. biskupa Kaczmarka w Kielcach w sierpniu 1941 r., pierwsza wizyta u gen. Grota-Roweckiego na Piusa, a potem druga gdzieś na Kieleckiej, pierwszy referat o katolicyźmie społecznym wygłaszany kierownikowi Delegatury Rządu w zapleśniałych i zapajęczonych zakamarkach kościoła Świętokrzyskiego w Warszawie. To są etapy. Na nich można opierać historię zdarzeń, zachodzących przy próbach realizowania jednej śmiałej koncepcji.

Istnieje zdanie, charakteryzujące najlepiej sens i treść tej „jednej śmiałej koncepcji". Wypowiedział je ks. Edmund Krauze, misjonarz od Św. Krzyża, jeden z pierwszych pionierow konspiracyjnej katolickiej akcji odrodzeńczej.

„Nasze wysiłki muszą iść po linii stworzenia takiej platformy działania, która będzie możliwa do przyjęcia przez wszystkich katolików, niezależnie od tego, gdzie są i skąd przyjdą".

Aby treść tak określonej koncepcji zrozumieć, trzeba faktycznie wkładem pracy konspiracyjnej — czy się w niej brało udział czy nie — spiąć przedwojenne dzieje katolicyzmu społecznego z okresem obecnej walki.

Jestem zdania, że wszelki rodzaj „sądów", niezależnie od towarzyszącej im atmosfery, działa korzystnie na postawę twórczą „sądzonych" działaczy społecznych. Sprzyja wnikliwszemu rewizjonizmowi własnych poczynań i daje szersze podstawy koniecznej samokontroli. Trudno jest mi natomiast zgodzić się na jakiekolwiek „ferowanie wyroków" przez ludzi, usiłujących wiązać bezpośrednio przedwojenną i obecną rzeczywistość katolicyzmu społecznego w Polsce, bez dania właściwego miejsca faktycznym osiągnięciom czasu wojennego. Przyjmuję i szanuję negatywne oceny ks. Mielińskiego, redaktora „Głosu Katolickiego" w Poznaniu, którego — o ile wiem — gorszyła swego czasu inicjatywa F. O. P.-u, powołująca do życia konspiracyjny „Oriens", zajmujący się tak specjalnymi zagadnieniami, jak wypośrodkowanie i ustalenie możliwej do przyjęcia przez państwo zasady działania Kościoła na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej poprzez obrządek łaciński lub wschodni. Nie przyjmę i nie uszanuję tych ocen, które, przechodząc do porządku dziennego ponad osiągnięciami konspiracji, mają tendencję wiązania na modłę przedwojenną katolicyzmu społecznego z jakimiś wyłącznymi ekskluzywnymi partiami politycznymi.

Zmęczony i sterany wysiłkiem ponad miarę Pallotyn O. Pauliński, jeden z najczynniejszych działaczy konspiracyjnych, kierownik jednej ze społecznych sekcji Walki Cywilnej, mówił mi na kilka dni przed śmiercią, że czekać musimy na ludzi świeżych i niezmęczonych, którzy powrócą z emigracji i przejmą od nas wszystkie wysiłki. Nie wiem czy naprawdę wierzył w tę możliwość, czy nie podzielał raczej zdania ks. Krauzego, dla którego jednym z największych problemów była obawa, czy będziemy mieć dostatecznie dużo siły na przekonanie przybyszów o konieczności uznania wszystkich konspiracyjnych. a rzetelnych osiągnięć.

* * *

Podstaw do sądzenia i ferowania wyroków, konspiracyjne ruchy katolickie dostarczały aż nadto. Usamodzielnienie polityczne pozwalało na wyzwolenie społecznych poczynań katolickich z pęt taktyki, lawirującej między programami i niepisanymi prawami obyczajowymi „katolickich" przedwojennych partii politycznych. Głoszone hasła „rewolucji moralnej", realizującej zasadę „wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z wyznawanej wiary" otwierało przed katolickim działaczem społecznym nieprzebrane możliwości. Podejmowane przez katolickie organizacje konspiracyjne, prace i faktycznie wykonywane zadania prowokowały wyznawców ustalonych systemów „katolickiego" politycznego działania. Wizja „drugiego brzegu" — nowej epoki, zdobytej dla katolicyzmu rewolucją moralną nie tylko pasjonowała szeregi „Unii", F.O.P.-u czy **„Krzyża i Miecza"**, ale stawiała realne zadania do wykonania. Troska o prymat dla katolicyzmu w programowym planowaniu zasadniczych reform socjalnych musiała się również wyrażać w czynnym i praktycznym podejmowaniu i wykonywaniu zadań społecznych, wynikających bezpośrednio z programowych zasad katolicyzmu. Zainicjowana na miarę więcej niż krajową i w ogromnej części realizowana przez Katolicki „Front Odrodzenia Polski", akcja czynnej i bezpośredniej pomocy Żydom była faktycznym i realnym dowodem wyzwolenia społecznej idei katolickiej ze wszelkich przedwojennych politycznych obciążeń.

Dopiero dzisiaj tę sprawę najrealniejszego osiągnięcia katolików czasu wojennego transponuję na język polityczny. Czy nię to w tym celu, aby podkreślić istniejącą nadal świadomość „wyzwolenia".

Dziwił się kiedyś, a może i niedawno, Stanisław Bukowski, jeden z głównych ideologów „Unii', że w sposób uparty i więcej niż namiętny przeciwstawiałem się połączeniu organizacyjnemu „Unii" i „F.O.P-u". Nie mógł zrozumieć, że koncepcja opanowania katolickim programem „Unii" jednego tylko stronnictwa — Stronnictwa Pracy — za cenę połączenia organizacyjnego „Unii" z tymże stronnictwem była zawróceniem z drogi ku „drugiemu brzegowi". Była cofnięciem się na pozycje monopolistów politycznych katolicyzmu z przed smutnego września 1939 roku.

Nie mógł ani Bukowski, ani Braun, ani Studentowicz zrozumieć i tego, że słuszne prawdziwe tezy prawie rewolucyjnego radykalizmu socjalnego, głoszone przez program „Unii", znalazły się na pozycji zaledwie zbytecznego licytowania się w radykaliźmie między... partiami politycznymi.

Jest to wyraźne cofnięcie się z drogi ku „drugiemu brzegowi", bo na tej drodze walkę prowadzą nadrzędne kierunki światopoglądowe, a nie polityczne partie.

* * *

Wstęp niniejszy nie służy wspominkarstwu. Zorientować się łatwo, że ma służyć temu, co będzie. Zaledwie notuję te punkty, dla omówienia których jest wiele dokumentarnego i filozoficznego materiału.

W każdym wstępie musi być oddech. Tym głębszy, im do istotniejszych wprowadza problemów.

Jestem najgłębiej przekonany, że wielkość problemów nie przerazi tak długo, jak długo są i będą w szeregach polskich katolików ludzie - płomienie. Twardzi i bezkompromisowi, mierzący wydarzenia i regulujący własny wkład pracy nie pod kątem doraźnych, ale faktycznych i zwycięskich osiągnięć. Ludzie - płomienie, zapalający umysły, widzący rozwiązania spraw najtrudniejszych, przekonani o niezniszczalności Prawdy w najróżniejszych i często pozornie dziwnych Jej wcieleniach.

Drogę ku „drugiemu brzegowi" oni wyznaczają i wyznaczą.

Głęboki oddech wszelkich poczynań, jest zagwarantowany w społecznej pracy katolickiej obecnością niespokojnych, płomiennych i twórczych jej pionierów.

- Witold Bieńkowski.

Ciekawe pismo emigracyjne

W Paryżu wyszedł drugi numer, raz na pół roku ukazującego się miesięcznika „Kultura", najlepszego na pewno pisma w powojennym dorobku emigracji. Poza obowiązującą propagandą antyrosyjską znajdujemy tam prace naprawdę ciekawe.

Redakcja drukuje z lekka katastroficzny fragment mającej się ukazać książki Daniela Halevy, historyka III Republiki, w którym m. in. czytamy:

„Czy aby zdążą? Takie stawiał sobie pytanie 100 lat temu Michelet. W marcu 1848 r. pojawiło się ono na jego ustach na bulwarze Magdaleny po brzegi wypełnionym radością tłumu. Ubiegiego tygodnia Paryżanie zrzucili z tronu swego króla. W ciągu 60 lat trzeciego już spotykał podobny los. Każde pokolenie miało więc swoje zwycięstwo i swoje święto jako że obalenie króla wydawało się wtedy jednym jeszcze wieńcem chwały w historii narodu. Stąd ich duma, radość i szał. Co zaś zwabiło Paryżan w ów dzień, o którym mowa na ten ich drogi bulwar: to zapowiedziana w prasie manifestacja republikanów niemieckich, włoskich, polskich, czeskich — jednym słowem wszystkich krajów, które miały swoich przedstawicieli w Paryżu. Owi cudzoziemcy chcieli przejść pochodem ulicami Paryża, po których lała się tak niedawno krew powstańców. Chcieli zaświadczyć tym samym, że rewolucja paryska jest także ich rewolucją, francuską i europejską jednocześnie. Micheleta sprowadziło tu złożone uczucie. Nerwowo wrażliwy na każde zdarzenie historyczne doznawał w zetknięciu z nim uniesienia i trwogi zarazem."

Wypadek niesłychany, wstrząs paryski odbił się echem wszędzie, aż po Neapol, Mediolan, Berlin i Wiedeń. Rewolucja biegła z szybkością światła. Wielu nie mogło się nadziwić tym jej bajecznym postępem, zapowiedzią powszechnej jedności ludów i powszechnego pokoju. Michelet, który miał dobrą pamięć odpowiadał swym rozmówcom lakonicznie: „Nie pamiętam 40 lat pokoju w Europie".

Patrząc na liczne mijające go delegacje, na różnobarwne ich sztandary, to co przewidywał na najbliższą przyszłość — to była wojna.

Miał rację — za kilka miesięcy będzie wszędzie: w skrwawionym Paryżu, w Rzymie i w Wenecji, w miastach oblężonych, na Węgrzech, zajętych przez Rosjan.

W tłumie spotkał Michelet poetę Berangera:

„20 lat temu dawał Pan pieśni Paryżanom. Ludzie dzisiejsi nie wiedzą, gdzie idą, bierz pan pióro, daj im pieśni."

Beranger, starzec ostrożny, uchylił pytania:

„Te pieśni — odparł — sami je ułożą."

Na co Michelet:

— „Czy aby zdążą?"

Tak więc już Micheleta dręczyło przewidywanie zbyt pospiesznego rytmu historii.

„Historia bieży — pisał w styczniu 1947 r. w swoim dzienniku „Combat" — Albert Camuse — a człowiek rozważa."

Trzeba jednak, by historia dała mu na to czas.

Wacław Zbyszewski w dłuższej pracy „Polska a Świat katolicki" analizuje historyczną rolę katolicyzmu w Polsce. Katolicyzmowi polskiemu zarzuca Zbyszewski intelektualizm i przerost pierwiastka narodowego. Dochdząc do czasów współczesnych stwierdza:

„Poza krakowskimi Stańczykami, którzy jakąś katolicką inteligencję wyhodowali, wszystkie nasze prądy katolickie są wobec Kościoła grubo nie w porządku. Pielgrzymki narodowców do Częstochowy połączone z awanturami anty-żydowskimi, były, z punktu widzenia katolickiego, po prostu zbrodnią. Chrześcijańska demokracja, a więc poniekąd oficjalna reprezentacja Kościoła wybrała sobie na przywódcę Korfantego, jednego z najordynarniejszych, chciwych groszorobów i dusigroszów, jakich kiedykolwiek spotkałem, ze swą kwadratową gębą i grubym cygarem obraz krwiopijcy i burżuja, jak go widzimy na bolszewickich plakatach. Po tym okropnym Korfantym przychodzi Popiel, krzykacz, demagog, nieuk, aferzysta i osioł, i na okrasę ksiądz Kaczyński, który jako sługa Boży jest po prostu skandalem. Jak chcemy takich ludzi przeciwstawić Brueningowi, czy Schuschniggowi? Jak możemy się dziwić, że ciężar gatunkowy katolików niemieckich jest zgoła inny niż polskich?"

Część poglądów Zbyszewskiego, wyłożonych w niecytowanej części artykułu, podzielamy. Nie sposób jednak zgodzić się z tonem cytowanej wypowiedzi. Krytyka Korfantego jest skandaliczna, powierzchowna i niesłuszna. Nie przypuszczaliśmy nigdy, aby emigracyjna prasa polska mogła w ten sposób pisać o znanych działaczach Chadecji. Uważamy to, nawet w stosunku do żyjących, wprost za nieprzyzwoite.

Warto wreszcie uwagę zwrócić na szereg ciekawych danych p. Gammy o sytuacji populacyjnej w dzisiejszej Francji:

„Francja jest jedynym krajem w Europie poza Polską i Jugosławią, której cyfra ludności w zestawieniu z 1939 r. zmniejszyła się dość wydatnie, bo przeszło o 2.5%. Jeżeli jednak w Polsce i Jugosławii zmniejszenie ludności nastąpiło dzięki bezprzykładnemu terrorowi niemieckiemu, deportacjom, wojnie domowej, emigracji i innym tego rodzaju okolicznościom, to we Francji, której straty wojenne w porównaniu z tymi krajami są nierównie mniejsze, kurczenie się liczby ludności jest wynikiem niezmiernie słabej rozrodczości."

Kilka zestawień w perspektywie historycznej jaskrawiej jeszcze podkreśli te niebezpieczne dla Francji procesy.

Tak np. w 1680 r. ludność Francji stanowiła 20% ludności Europy, w 1650 — 13,5%, w 1938 — już tylko 7,5%.

Gdy zestawimy podobny proces w ramach krótkiego okresu lat 8-u, to skonstatujemy, że w 1939 r. Francja liczyła 41 milionów, a w 1947 — 39 i pół miliona. Jednocześnie ludność Niemiec przy gwałtownym okrojeniu terytorium wzrosła z 66 milionów w 1939 r. na aproksymatywnie 72 miliony obecnie, głównie dzięki deportacjom ze Wschodu, niemniej ta zmiana stosunku ludności jest bardzo charakterystyczną.

Analiza procesów populacyjnych daje wyniki o wiele bardziej niepokojące, niż samo skonstatowanie globalnych rezultatów, które utrzymują jakby mniej więcej na tym samym poziomie ludność Francji przez ostatnie lat 30

Jeśli weźmiemy geografię tych procesów, to możemy skonstatować, że istnieje szereg departamentów, w których przez ostatnie lat 40 ludność zmniejszyła się niemal do połowy.

Tak np. w departamencie Lot w zestawieniu z r. 1900 ludność zmniejszyła się o 45%, a ilość urodzeń w stosunku rocznym o 70%. Znaczy to, że zamiast 10 dzieci na początku wieku, rodzi się tam obecnie w 1947 — troje. Analogiczne cyfry w departamencie Alpes Maritimes: ludność zmniejszyła się o 41%, ilość urodzeń o 74%, w departamencie Ariege analogiczne cyfry wynoszą 38,73% i 69%.

Jeżeli nawet weźmiemy departamenty o największej stosunkowo rozrodczości, jak np. departament Nord to i tam mamy zmniejszenie ludności w tym samym okresie czasu o przeszło 8%, a spadek urodzin o 25%.

Wyciąganie wniosków z faktów względnej niezmienności ludności Francji w ciągu ostatnich lat 30, prowadzi także do dwóch błędów: pierwsze nieuwzględniania dopływu cudzoziemców, których cyfra między 1920 a 1939 podwoiła się, dochodząc do dwóch i pół miliona, drugie, co jest jeszcze o wiele ważniejsze, odbywa się jednocześnie proces starzenia się społeczeństwa, to znaczy przyrostu cyfry starszych roczników, przy katastrofalnym zmniejszeniu się liczby ludności w rocznikach młodszych, bardziej dynamicznych i gospodarczo najbardziej wydajnych.

Ekonomicznie mamy do czynienia z efektem podwójnym; wzrost liczby roczników starych, tzn. ludzi już niezdolnych do pracy, coraz bardziej obciąża ekonomicznie społeczeństwo.

Jednocześnie posuwanie się w górę przeciętnej wieku robotników w przedsiębiorstwach czy pracowników w urzędach i instytucjach wpływa na zmniejszenie wydajności pracy. To samo, oczywista, dotyczy wszystkich dziedzin pracy i wytwórczości.

Nie potrzebujemy dodawać, że ma to podobne efekty negatywne np. jeśli chodzi o zdolność bojową armii.

dh

Dominik Horodyński

POLONIA

Apelując do społeczeństwa amerykańskiego o ofiarność na rzecz tzw. D. P. (displaced persons w Niemczech) prezydent Truman przed kilku miesiącami efektownie powiedział, że Amerykanie powinni szczególnie dobrze rozumieć losy rozbitków, ponieważ sami są potomkami uchodźców europejskich. Istotnie, w mozaice ludnościowej Stanów nie brak żadnego z narodów starego kontynentu. Polacy zjawili się tam późno i sytuacja ich jest dość specjalna. Niespełna 100 lat temu w 1855 roku ksiądz Leopold Bonawentura Moczygemba na czele grupy emigrantów z Górnego Śląska założył pierwszą w Ameryce polską parafię w Panna Maria w Texas. W 1870 roku było 16 parafii, w 1880 r. — 84, w 1890 r. — 170, w 1900 r. — 330, w 1905 r. — 500, obecnie zaś jest przeszło 1500 księży i przeszło 830 parafii.

W tym samym czasie i w jeszcze większych ilościach przyjeżdżali Niemcy, ale był to inny element społeczny i inaczej się w Ameryce urządzał. Wielu z nich było wykwalifikowanymi robotnikami, majstrami, przedsiębiorcami itd. Przyjeżdżali często z kapitałem, nie tworzyli zwartej kolonii, szli w diasporze, indywidualnie, pomagając sobie nawzajem, wybijali się w życiu amerykańskim.

Większość Polaków to nie był typ pioniera-zdobywcy. Nie wyruszali na podbój świata. Nawet mimo niewoli nie można powiedzieć, że wyjeżdżali z powodów politycznych. Nie, biedni niewykwalifikowani robotnicy rolni uciekali od nędzy, uciekali od warunków, w których nie mogli sobie dać rady. Byli zahukani i zgubieni, mieli małe wymagania i żadnych powodów do wiary we własne siły. Dlatego chcieli być razem — „kupą" — i potworzyli zamknięte ghetta narodowe. Gdy po latach ciężkiej pracy robotnik rolny czy portowy zmieniał się w farmera, kupca, czy przedsiębiorcę, dalej posyłał dzieci do polskiej szkoły parafialnej i zatrzymywał na całe życie w środowisku polskim na marginesie gwałtownego rozwoju Ameryki. W rezultacie dzisiaj sześciomilionowa masa Amerykanów polskiego pochodzenia jest mniejszością, która ma najwięcej szkół narodowych, najlepiej zachowany język ojczysty, najpiecżołowiciej przechowywane tradycje patriotyczne wraz z obchodami różnych rocznic narodowych itd., posiadając równocześnie najmniejszy wpływ na życie polityczne i gospodarcze Stanów. Nawet Włosi wydali swego La Gaurdia i szereg innych czołowych osobistości. W Waszyngtonie rola obecnego dyktatora Polonii Karola Rozmarka nie jest większa, niż np. przed wojną działacza kaszubskiego w Warszawie.

W pierwszej fazie przypływu Polaków do Stanów ghetta narodowe cementowali księża, obawiając się złego wpływu sekt religijnych i pogańskiego ducha Ameryki. Kościół narodowy (biskup Hodura) szedł jeszcze dalej w nacjonaliźmie. Ponieważ ghetto proletaryzowało Polaków, nic nie mieli przeciwko jego utrzymywaniu wielcy przemysłowcy, np. rzeźnie w Chicago korzystające z taniego robotnika. W czasie dwudziestolecia Rząd Polski uważał, że silna narodowa Polonia może być elementem pozytywnym w grze z Waszyngtonem. Zresztą żadnej koncepcji nie przeprowadzał, poza tym, że przedstawicielstwa warszawskie miały za zadanie utrzymywać jak najlepsze stosunki z Polonią i podtrzymywać jej ducha patriotycznego. Rząd emigracyjny chciał stworzyć z Polonii bazę polityczną, materialną i ludzką. Jak dalece nadzieje te zawiodły dowodzi fakt, że gdy Sikorski ogłosił apel, wzywający ochotników do armii polskiej, zgłosiło się — o ile pamiętam — kilkunastu ludzi. W dwa lata potem kilkaset tysięcy młodych Amerykanów z rodzin polskich znalazło się w armii Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich było ochotnikami.

Wydaje mi się, że polityka ghetta okazała się polityką błędną i dla interesów Polonii i dla interesów Polski. Gdyby jeden Eisenhower lub Vandenberg był pochodzenia polskiego, zamiast niemieckiego, znaczyłoby to dla polityki polskiej więcej, niż tysiące wątpliwej wagi kartek wyborczych. Dotychczas Polacy głosowali na demokratów, bo choć programy obu partii niczym nie różnią się między sobą, istnieje zwyczaj, że ludzie ubożsi głosują na demokratów. W 1948 r. najprawdopodobniej głosy Polonii padną na republikanów — ale tych zorganizowanych głosów będzie coraz mniej. Ostatnia wojna była okresem przełomowym dla rozwoju Polonii. Setki tysięcy młodych ludzi wyszło ze swoich środowisk i via wojsko weszło w życie amerykańskie. Dzisiaj studiują na różnych uniwersytetach, są zdolni, zaczną się wybijać i już do ghetta nie wrócą. Zachowali sentyment do dawnej Ojczyzny, choć wielu z nich nie mówi już po polsku. I tak jest chyba lepiej. Po pierwszej wojnie światowej można było rachować na masowy powrót do kraju — powrót z kapitałem i doświadczeniem życiowym. Niestety ówczesnemu Rządowi Polskiemu brakowało właśnie między innymi doświadczenia. Nie doceniał on również wagi problemu. Okazja została zmarnowana. Polska nie tylko nie okazała się atrakcyjną, ale odstraszyła pełnych dobrej woli przybyszów. W Chicago, w Detroit, w Nowym Yorku słyszałem dziesiątki opowieści, jak to ich szykanowano i oszukiwano, ilu straciło w Polsce wszystkie trudem całego życia zdobyte pieniądze, jak wyśmiewano się z ich sposobu bycia itd. Tak została zmarnowana raz na zawsze wielka okazja. Poważniejszego powrotu Polonii do kraju nie należy już nigdy oczekiwać. Młodzi należą do innego świata, który daje im awans społeczny i włącza do swojej kultury.

Podobnie nie wydaje mi się, żeby zorganizowana Polonia mogła być kiedykolwiek elementem polityki polskiej w stosunku do Waszyngtonu. Nie tylko rząd emigracyjny nie potrafił grać przy pomocy przywódców Polonii. Nie będzie mógł tego uczynić żaden rząd polski. Masa Polonii jest ofiarna i posiada głęboki sentyment do Polski, ale są to obywatele amerykańscy. Mają przede wszystkim obowiązki w stosunku do swojej obecnej ojczyzny. Byłoby wielkim błędem wierzyć, że rząd Stanów może się zgodzić na bałkanizację własnego kraju. Gdyby kilkanaście „mniejszości" amerykańskich zorganizowało się narodowo i ulegało wpływom swoich macierzystych rządów, w Stanach zapanowałaby anarchia. Rząd federalny nie tylko na to zgodzić się nie może, ale nie odczuwa najmniejszych obaw. Jest zupełnie spokojny, ponieważ wie, że w organizacji Polonii obowiązuje ta sama mechanika, co w całym życiu publicznym Ameryki. Przywódcy dysponują machiną organizacyjną, która ma działać nie dla Polaków i w Polsce, ale dla samych przywódców i w Ameryce. Działalność organizacyjna jest odskocznią dla awansu społecznego w życiu amerykańskim. Nie chodzi tutaj o żadną „sprawę polską", chodzi o karierę Amerykan w Ameryce. Syn górnika, Karol Rozmark, potrafił przenieść się z prowincjonalnego miasta do Chicago. Dużo trzeba wysiłków, żeby zmienić Chicago na Washington.

Stąd dla polityki polskiej chyba rozsądniej jest działać via Washington na Polonię, niż czynić nieudane próby działania odwrotnego.

Za jakieś 10 lat ghetto polskie zniknie. Rozpocznie się okres diaspory. Nie będzie wspaniałych, kosztownych parad i wielkich wieców na „polankach", ale wpływ Amerykanów polskiego pochodzenia w Stanach wzrośnie. I dla nich i dla nas będzie to chyba lepiej.

**

Najliczniejszym skupiskiem polskim jest Chicago, obywateli pochodzenia polskiego jest tam przeszło pół miliona — więc jeszcze rok temu było to największe miasto „polskie" na świecie. Dzielnica polska, to coś, jak ogromna Łódź o szerokich brudnych ulicach. Centralnym punktem życia Polonii jest dom Zarządu Związku Narodowego i leżąca naprzeciwko, sławna na całą Amerykę restauracja p. Lenarta. W restauracji tej można spotkać większość znanych działaczy i niejedną wódkę wypili tam wszyscy Polacy, którzy w ostatnich dziesiątkach lat odwiedzali Amerykę. Trudno wyrazić wzruszenie, które musi ogarnąć każdego, kto znajdzie się tam teraz, w brudnej sali, przy podłym jedzeniu, otoczony dobrymi serdecznymi ludźmi. „To czas się cofnął i odwrócił lica" — jak mówi Słowacki. Tak to musiało wyglądać, tacy ludzie życzliwi i prości, taka restauracja i takie rozmowy, gdzieś w dziewięćsetnych latach w Tarnowie, Dębicy lub Przemyślu. Zamiast Franz-Jozefa wiszą na ciemnych ścianach pogodzeni Piłsudski, Sikorski i Haller. Pomału pije się piwo i idą leniwe rozmowy o plotkach miejscowych, o interesach, a przede wszystkim wspomnienia — „jak to było", o tym można bez końca. Rozmówcami moimi są ludzie, których ofiarności i pracy zawdzięczamy pomoc, już trzeci rok do Polski z Ameryki przychodzącą. Oni zbierają buty, ubrania, żywność. Nie są bogaci, są ludźmi z ghetta i kochają Polskę. To przywiązanie do kraju jest zdumiewające. Są to przeważnie ludzie starsi. Jeszcze przed pierwszą wojną wyjechali za chlebem i mają za sobą ciężką pracę. Jak już wspomniałem, dwudziestolecie nie było dla nich łaskawe. Poza tym mają swoje poglądy polityczne, które też nie ułatwiają im sprawy zachowania uczucia. Są „feudalno-demokratyczni" (nauczył mnie tego określenia jeden znajomy z PPR-u). W czasie pierwszej wojny światowej panował nad nimi Paderewski i Haller. Piłsudskiego uważali i uważają za niebezpiecznego rewolucjonistę. „Nie zadawaj się pan z tym lewicowcem" — szepnął mi do ucha jeden serdeczny przyjaciel, od którego dostałem spodnie. Byłem dość zdziwiony, ponieważ „lewicowiec" wygłaszał opinie jawnie „reakcyjne". Wyjaśniło się, że mój przyjaciel jest endekiem, a oprócz tego był u Hallera, a „lewicowiec" służył kiedyś w Legionach. Nigdy już nie zasłuży sobie na zaufanie. Moi rozmówcy mieli wyraźną ochotę przy słowie „socjalista" spluwać przez ramię, trudno się więc dziwić, że dzisiejsza Polska jest dla nich krajem co najmniej obcym. Mimo to ich chęć i wysiłek pomocy są imponujące, a przede wszystkim wzruszające. Troska bezinteresowna, rzadka wszędzie na świecie, a w Ameryce szczególnie. Zaznaczyć jednak trzeba, że bezinteresowność dotyczy szarych ludzi — tych, którzy dają i płacą.

Organizacyjnie pomoc dla Polski centralizuje Rada Polonii z dziekanem Fr. X. Swietlikiem na czele, najwybitniejszym przedstawicielem starszego pokolenia Polaków amerykańskich. Stworzona w 1943 r. przez biskupów Woźnickiego i Bonę „Liga Katolicka", współpracując z amerykańską N. C. W. C. (National Catholic Welfare Conference) wspomaga „Caritas" w Polsce. Te dwie polskie organizacje współpracują zgodnie z sobą, nie zajmując się polityką sensu stricto.

Pierwszą organizacją ściśle polityczną Polonii był założony na początku II wojny światowej KNAPP (Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia). Powstał on przy współudziale działaczy sanacyjnych z Polski z nadzieją, że przy jego pomocy stworzą sobie pewną przeciwwagę w stosunku do rządu londyńskiego. Rola KNAPP-u nigdy nie była duża, a w chwili obecnej zanika. Jedyną naprawdę silną organizacją polityczną jest Kongres, który powstał w 1943 r. Prowadzi go energicznie ambitny demagog. Karol Rozmark, obecnie złudna nadzieja emigracji politycznej. Między K. Rozmarkiem a Fr. X. Świetlikiem istnieje od lat gwałtowny konflikt osobisty, będący głównym tematem rozmów politycznych i zainteresowań Polonii.

Zjednoczenie Rzymsko - Katolickie i Związek Narodowy — to organizacje asekuracyjne, nie polityczne, cementujące Polonię, tak jak Związek Kobiet i szereg fundacji.

Większość organizacji konkuruje między sobą, a rolę centralizującą spełnia najbogatszy ze wszystkich Związek Narodowy kierowany również przez Rozmarka.

Podczas pobytu w Chicago codzień spędzałem kilka godzin w domu Związku, pilotowany przez zacnego, starego znajomego p. Tomasza Zielińskiego, malarczyka i działacza Polonii. U p. wiceprezeski Franciszki Dymek matki dwóch lotników amerykańskich czytałem listy z Polski, których codziennie przychodzi kilkaset. Listy z prośbą o pomoc materialną. Związek musiał stworzyć specjalny referat, żeby je wszystkie czytać i segregować. Moi chicagowscy przyjaciele prosili mnie, o powiadomienie jakoś społeczeństwa polskiego o niecelowości wysyłania tych listów. „Po co oni tyle pieniędzy wydają na znaczki" — skarżył się p. Zieliński. Związek nie jest instytucją charytatywną. Sam żadnych paczek nie wysyła, czasem tylko poszczególni członkowie wyrusze ni jakimś wyjątkowym listem, mogą coś indywidualnie posłać. Część listów idzie do kosza, część jest odsyłana do Rady Polonii, która na miejscu w Polsce sprawdza, czy petent rzeczywiście potrzebuje pomocy, część zostaje w archiwum jako dowód, że w każdych okolicznościach zdarzają się rzeczy zabawne. Czytałem listy, w których ktoś spod Rzeszowa prosi o kozę, inny o czerwoną papugę, ktoś jeszcze o śpiewającego kanarka, suknię balową i samochód. Zresztą nawet w listach żądających nie tak specjalnych rzeczy, zawsze są jakieś szczególne wymagania. Dla przykładu cytuję spis rzeczy, o które prosi p. Janina L. z Włocławka:

Spis niezbędnie potrzebnych mi rzeczy:

1) 1 kołdrę na zimę ciepłą i 2 podpięcia do niej,
2) 2 powłoki na pierzynę,
3) 2 poszewki na dużą poduszkę,
4) 2 poszewki na małą poduszkę,
5) 2 poszeweczki na jasiek,
6) 2 prześcieradła,
7) palto zimowe (mam tylko let nie, które noszę wiosną, latem na jesieni i zimową porą),
8) jesionkę (może być koc jasny na jesionkę),
9) 2 sukienki wełniane — ciemne,
10) 2 sukienki letnie — ciemne,
11) reformy ciepłe na zimę,
12) 2 komplety bielizny (koszulki i reformy),
13) pończochy,
14) pantofle na nogi duży rozmiar (brązowe lub granatowe), może być też i skóra z dokładem, z której można zrobić buciki na dużą nogę),
15) torebkę damską skórzaną?
16 szalik na szyję i rękawiczki?
17) chusteczki do nosa,
18) kapelusz na zimę i na lato?
19) płaszcz nieprzemakalny lub parasol?
20) przydałyby się jeszcze następujące rzeczy, a mianowicie: nici, zegarek na rękę. 2 komplety sztućców (nóż, widelec i łyżka), mydło toaletowe.

Z żywności:

Herbata, kakao czyste bez domieszek), kawa, czekolada, konserwy w puszkach (ser, mięso, ryby, owoce), ryż, wanilia i inn. artykuły żywnościowe — wszystko dla moich chorych.

Jestem tęga i duża — potrzebuję duże rozmiary bielizny i odzieży.

Nie można pisać o Polonii nie wspominając o jej prasie. W Ameryce wychodzi 94 pisma polskie w czym 9 dzienników. Poziom ich

(Dokończenie na str. 6-ej)

W świecie...

5.I. **Mimo poważnej pomocy amerykańskiej rząd Czang-Kei-Szeka poniósł ostatnio szereg dotkliwych klęsk zadanych przez wojska komunistyczne, które doprowadziły niemal do utraty Mandżurii. W rezultacie tej trudnej sytuacji powstał w Hongkongu nowy chiński rząd opozycyjny pod przewodnictwem marszałka Li-Czaj-Suma przy współudziale generała Liu-Ya Tse komendanta 19 armii chińskiej oraz Czen-czu-czuna, szefa grupy „Ocalenia narodowego". Rząd ten ma zamiar prowadzić politykę anty - amerykańską, choć pro - angielską i pro - radziecką. Uważa się za kontynuatora „Kuomintangu", na co powołuje się jednak również Czang-Kei-Szek. Sytuacja jest bardzo skomplikowana — gdyż w ten sposób Chiny zostają rozdzielone między trzy środki polityczne, miast dotychczasowych dwuch,— Czang-Kei-Szeka i komunistów. Szczegółów rozwoju sytuacji dotychczas brak.**

POMOC CHUDNIE

Rozpoczęta została nadzwyczajna sesja Kongresu USA poświęcona walce z inflancją USA i planowi Marshalla. Plan Marshalla został w ostatniej chwili zmieniony i w innej, niż początkowa forma, poddany obradom. Zamiast ogólnej sumy 17 miliardów dolarów, których domagał się rząd, nowy projekt ustawy przewiduje tylko wezwanie do Kongresu o przyznanie 6.800 milionów dolarów na okres pierwszych 15 miesięcy. Sprawę pomocy na okres lat czterech zadecydować by miał Kongres następny. Kongres domagać się będzie prawdopodobnie specjalnej kontroli roztoczonej przez Amerykan[illegible] dyplomatów nad gospodarką państw, które z pomocy skorzystają. Sensacją kongresu był fakt, iż po raz pierwszy w dziejach USA orędzie prezydenta do Kongresu spotkało się po jego odczytaniu z absolutnym milczeniem. Nie padły żadne oklaski aprobaty. Republikanie mający w Kongresie większość orzekli, iż przemówienie Trumana nie było orędziem głowy państwa, lecz mową przedwyborczą kandydata na prezydenta.

BIZONIA

Ostatnio w Frankfurcie nad Menem odbyły się narady polityków anglo - saskich razem z szefami państw niemieckich strefy amerykańskiej i brytyjskiej. Rezultatem obrad jest zmiana statutu administracyjnego obu stref anglosaskich. Zmiany idą po linii stworzenia państwa zachodnio - niemieckiego. Na czele „Bizonii" stać będzie niemiecka Rada Ekonomiczna składająca się z 104 przedstawicieli. Drugą izbą będzie „Leanderrat" utworzona z dwuch przedstawicieli każdego kraju; Komitet Wykonawczy Rady Ekonomicznej składać się będzie z administratorów: gospodarki, rolnictwa, wyżywienia, skarbu, transportu, telekomunikacji i siły roboczej. Tworzy się Wysoki Trybunał Sprawiedliwości i Bank dla Bizonii.

Z dniem 30 czerwca administracja amerykańskiej strefy okupacyjnej przejdzie z Departamentu Wojny do Departamentu Stanu.

Zgodę na propozycje frankfurckie wyraziły wszystkie partie niemieckie stref zachodnich, prócz komunistycznej. „Berliner Zeitung" określa konferencję jako najdotkliwszy cios zadany narodowi niemieckiemu od czasów wojny. Dziennik wzywa wszystkie postępowe siły niemieckie do walki o utraconą jedność i domaga się referendum narodowego w sprawie jedności Niemiec. Organ SED pisze wyraźnie, iż kierownictwa partii zachodnio - niemieckich, „w których znajdują się grupy quislingowców" przyłączyły się do zakonspirowanej zdrady narodu niemieckiego.

11.I.

Lecomte de Noüy

BOSKI

Pewien mój przyjaciel utrzymywał, że człowiek z wyższym wykształceniem, czy to prawnik, czy romanista, czy jakikolwiek inny powinien znać wyższą matematykę. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest to tylko pobożne życzenie i że wielu inteligentów niechętnie patrzy na wszelkiego rodzaju liczby, bo nie jest z nimi na stopie zażyłości. A jednak matematyka nię ustępuje urokiem poezji, czy muzyce, powiedziałbym nawet, że stanowi istotę wszelkich Sztuk.

Gdy więc wpadł mi w oczy w amerykańskim piśmie Catholic Digest skondensowany rozdział z książki Lecomte du Noüy pt. **„Human Destiny"**, w którym autor na zasadzie analizy matematycznej wykrywa we wszech świecie istnienie Oszusta, który mąci przypadkowość, który podobny jest do brydżysty, wygrywjaącego szlemika dobranymi kartami — nie oparłem się pokusie, by przełożyć w całości ten rozdzialik.

Wszyscy kiedyś uczyliśmy się tych dróg, którymi autor nas prowadzi, toteż z przyjemnością przypominamy je sobie; z jeszcze większą przyjemnością ujrzymy widoki uboczne matematyki i wszechświata, a z największą — wnioski, jakie się narzucą każdemu czytającemu Nie ma dziś prawdziwego uczonego, który by w Boga nie wierzył, choć nie każdy z nich jest katolikiem — jest to pocieszające stwierdzenie pewnego polskiego uczonego. Ale dla katolika jest niemałą pociechą słuchać dowodów na istnienie Boga, podawanych językiem uczonych. Słowem wydaje mi się, że czytelnik może mieć przy tej lekturze wielka rozmaitość pożytków.

Z. Jakimiak

Możemy użyć rachunku prawdopodobieństwa, by matematycznie udowodnić niemożliwość wyjaśnienia początku życia na ziemi przez czysty przypadek. Rachunek ten jest układem prawideł, który umożliwia matematyczne wyrażenie praw rządzących przypadkiem.

Na przykład w grze orzełreszka liczba możliwych przypadków sprowadza się oczywiście tylko do dwóch (orzeł albo reszka). Jeśli moneta jest symetryczna, co zazwyczaj ma miejsce, wówczas oba przypadki są jednakowo prawdopodobne. A więc prawdopodobieństwo przypadku, że moneta rzucona w powietrze upadnie orłem (lub reszką) do góry, jest równe 1 (liczba przypadków korzystnych dla każdego gracza), podzielonej przez 2, czyli 1/2 czyli 0,5. Powiemy więc, że prawdopodobieństwo wygrania w zabawie orzeł-reszka jest 0,5. W przypadku kostki, która ma sześć boków, prawdopobieństwo będzie wynosić 1/6 czyli 0,1666...

Ważnym punktem, który tu należy podkreślić jest to, co powiedział wielki matematyk Józef Bestrand, że „przypadek nie ma ani świadomości ani pamięci". Po dziesięciu rzutach, z których każdy dał reszkę, prawdopodobieństwo, że następny rzut da reszkę, jest to samo co po pierwszym rzucie i takie samo co dla orła. Wynosi ono zawsze 1/2. I dlatego to, mimo że w grze tej można wygrać i można dużo przegrać, jest matematycznym pewnikiem, że jeśli ktoś gra dostatecznie długo, wówczas wygrane zrównoważą przegrane pod warunkiem, że gra jest uczciwa, to znaczy, że rządzi nią wyłącznie przypadek. Gdy wydarzenie, którego prawdopodobieństwa szukamy, polega na następstwie dwóch wypadków, zatem prawdopodobieństwo jego równe jest iloczynowi prawdopodobieństwa pierwszego z tych wypadków pomnożonemu przez prawdopodobieństwo, że drugi wypadek zdarzy się wtedy, gdy pierwszy już się wydarzył.

Weźmy prosty przykład: zapytajmy się jakie jest prawdopodobieństwo wyrzucenia 2 razy z kolei piątki przy użyciu tylko jednej kostki. Prawdopodobieństwo pierwszego przypadku jest równe 1/6. Prawdopodobieństwo drugiego przypadku wynosi również 1/6. A więc prawdopodobieństwo otrzymania piątki (lub innego numeru) dwa razy z kolei będzie równe 1/6×1/6 czyli 1/36 czyli 0,0227. Prawdopodobieństwo wyrzucenia tego samego numeru pięć razy z kolei wynosić będzie 1/7776 czyli 0,00013... Szansa otrzymania go 10 razy z kolei będzie 1/604661176 (w cyfrze zaokrąglonej), czyli około 0,000000016. Można tu zauważyć, że szansa szybko się zmniejsza.

Rozważmy teraz rzeczywiste znaczenie słów takich jak **możliwy i niemożliwy**. Odkąd idea prawdopodobieństwa została wprowadzona do fizyki, słowa możliwe i niemożliwe zostały wykreślone z naszego naukowego języka. Każde wydarzenie może być wysoce nieprawdopodobne, ale jest ono zawsze **teoretycznie** możliwe z wyjątkiem wypadku, gdy powody proste, strukturalne, logiczne czynią je niepojętym, jak np. wyrzucenie siódemki jedną kostką. Jeśli prawdopodobieństwo jakiegoś zdarzenia jest nieskończenie małe, to jest ono równe praktycznej niemożliwości w pewnych granicach czasu. Teoretyczna możliwość istnieje zawsze, ale może ona być tak mała, że jest równoważna prawie pewność wypadku przeciwnego. W tym wypadku czas może dużo zmienić. Istotnie, przypuśćmy, że ograniczamy czas, w którym może zajść pewne zdarzenie. Przypuśćmy np., że jakieś zdarzenie może zajść raz na 100 lat w pewnych warunkach, ale że te warunki nie mogą trwać dłużej nad 24 godziny. Np. wyobraźmy sobie gracza w kości, który próbuje otrzymać mało prawdopodobny rzut wyżej wspomniany, mianowicie 10 razy z kolei tę samą cyfrę. W okrągłych liczbach będzie on miał jedną szansę na 60 milionów rzutów. Jeśli będzie rzucał kostkę raz na sekundę przez dzień i noc bez przerwy, to rzuci 86400 razy na dobę; bez snu i pożywienia będzie on rzucał tak bez przerwy około dwóch lat, aby mieć jedną szansę wyrzucenia tej samej cyfry dziesięć razy z kolei. Lecz przypuśćmy, że kostka jest zrobiona z tak kruchego materiału, że po kilku dniach się rozleci, wówczas szanse gracza zmniejszą się znacznie, bo nie będzie on mógł wykonać tych 60 milionów rzutów. Ma on zawsze możliwość, że pożądana seria nastąpi prawie bezpośrednio po kilku rzutach, ale możliwość ta jest niezmiernie mała. Jeśli może on rzucić kostkę tylko 10 razy, wówczas możemy powiedzieć, że **praktycznie** pożądany rzut jest niemożliwy. Wkrótce zobaczymy dlaczego wybraliśmy ten przykład.

Wyobraźmy sobie mieszaninę tysiąca białych i tysiąca czarnych cząsteczek różniących się tylko kolorem. Cząsteczki te znajdują się w szklanej rurce, której średnica jest tylko nieznacznie szersza od cząsteczki tak, że nie mogą się one z sobą mieszać i stoją jedna obok drugiej jak w szeregu. U góry znajdują się białe cząsteczki Obserwacja nas poucza, że rurka jest w połowie biała, a w połowie czarna, dysymetria jest zupełna, nie ma tu jednorodności. (Stopień dysymetrii równa się 1).

Rurka, zamknięta z jednego końca, połączona jest drugim końcem z pustą szklaną kulą Przy odwróceniu tego urządzenia do góry nogami cząsteczki spadają do kuli i mieszają się z sobą wzajemnie dzięki wstrząsowi. Gdy znowu odwrócimy kulę, cząsteczki wpadną z powrotem do rurki jedna nad drugą, ale już w zmienionym porządku. Jest krańcowym nieprawdopodobieństwem uzyskania w tym wypadku takiego ich układu, jak na początku doświadczenia. Z bliższej odległości, z której można okiem odróżnić białe cząsteczki od czarnych, rurka wyda się nam szara na całej długości.

Jeśli znów odwrócimy urządzenie i wstrząśniemy, otrzymamy, po odwróceniu aparatu do pierwszego położenia, zmieniony układ cząsteczek, ale w **naszej skali obserwacji** rurka pozostanie szara i zjawisko nie zmieni się w sposób widoczny. Obserwacja wykaże, iż nawet przy przedłużeniu doświadczenia na dłuższy przeciąg czasu wrażenie pozostanie to samo.

40-sta rocznica śmierci Stanisława Wyspiańskiego*)

Bardzo słusznie w dołączonym do programu Cyda artykule narzeka Jarosław Iwaszkiewicz na to iż 40-tą rocznica śmierci Wyspiańskiego przechodzi (raczej już przeszła) w Polsce niedostrzeżenie.

„Nie wiele tylko teatrów gra jego sztuki, a w prasie literackiej, nie mówiąc już o codziennej o wielkim autorze „Wesela" jakoś jest głucho. A przecież jeżeli mamy walczyć z romantyzmem to w nim musimy widzieć naszego poprzednika".

Słuszne. Czy to nie z „Warszawianki" własnie owej „tragedii niekoniecznych ofiar, poniesionych dla wielkiego gestu" (Gołubiew) wywodzą się z aplauzem przyjęte, choć ciągle jeszcze nie stosowane przez społeczeństwo tezy „Spraw Polaków" Osmańczyka? Nie bez głębokich powodów tkwiących w psychice narodu Warszawa czasu ostatniego powstania pisała na swoich sztandarach słowa „Oto dziś dzień krwi i chwały".

U podstaw równie bohaterskiego jak szaleńczego aktu leżała romantyczna krańcowość: „dziś twój triumf, albo zgon". Znowu w dni owe, rację miałby Chłopicki, gdyby, stanąwszy na którejś z barykad Starego Miasta, przerwał tę pieśń wołaniem:

„Otóż to, otóż to: zgon! wtedy, gdy trzeba,
Żeby Mars w pełnej zbroi gnał przez pola.
Tu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu:
W malowniczości zgonu".

Wiek z górą minął od bitwy pod Grochowem, a nami rządzi ciągle „poemat dla romantycznych głów".

„...A przecież jeżeli mamy walczyć z romantyzmem, to w nim (w Wyspiańskim — p. a.) musimy widzieć naszego poprzednika.

***

Jedynie (do tej pory przynajmniej) dwa teatry polskie godnie uczciły pamięć genialnego autora „Wyzwolenia". Mam tu na myśli teatr miejski im. Jul. Słowackiego w Krakowie („Klątwa" i „Warszawienka") i Państwowy Teatr Polski w Warszawie („Cyd"). Szkoda. Szkoda, że tak mało.

Ciekawe, że są teatry imienia tego wielkiego pisarza.

Krakowski spektakl „Klątwy" wywołał dużą furorę. W sprawie tej sztuki głos zabierali już niemal wszyscy — jak to zwykle bywa: mniej lub więcej właściwie. Taki jest Kraków. Od nierozsądnej dewocji po obrazoburstwo. Czasem dyskutanci mówili ze znajomością rzeczy, czasem, w ferworze zdradzali swój dyletantyzm, jak na przykład ów pan który nie dopatrzył się uzasadnienia dla jakże zrozumiałego żalu Matki wynikłego z faktu, iż ksiądz naprzód trącił swoim kieliszkiem kieliszek Młodej.

Krańcowość opinii charakteryzują dwie interesujące wypowiedzi. Oto asystent uniwersytetu zapytany o wrażenia powiedział: widzę konsekwencję w zakończeniu — dobrze się stało, że Młoda w ten sposób została ukarana, a młody student politechniki (sic!) o to samo zapytany zreasumował swój nastrój: wyszedłem z teatru z ulgą. Rozwiązanie padło w ostatnim momencie: piorun uderzył w wieś — ona została ukarana za ciemnotę wszystkich swoich mieszkańców, za ciemnotę zdolną doprowadzić do zbrodni.

Nie solidaryzując się bez reszty z żadną z cytowanych wyżej opinii stawiam je jako dwa nawiasy, w których mieszczą się wszystkie komentarze: Mówię „nawias", bo istotnie wszystko, co by się na ten temat nie powiedziało dalekie będzie w zasadzie od tego co znajduje się w egzemplarzu „Klątwy".

Wydaje mi się tylko (skoro już i ja, z obowiązku, komentarz jakiś mam dorzucić, że wszyscy moi czcigodni przedmówcy zapomnieli o rzeczy bardzo ważnej o tym kiedy powstała „Klątwa" o tym kiedy miała miejsce, za wzór służąca, gręboszowicka tragedia.

Wiele się przez lat czterdzieści zmieniło. Traktowanie akcji „Klątwy", jakby ona mogła mieć miejsce dziś, świadczy albo o nieznajomości przemian socjalnych, albo o perfidnej złośliwości.

Jestem święcie przekonany że ksiądz z Gręboszewa wdział suknię duchowną w sposób niesłychanie prosty: bezpośrednio po urodzeniu o tej jego „karierze" zdecydowali rodzice. Tak wyglądało jego „powołanie". I tu tkwi źródło niejednej tragedii. Dziś (może nie bez odstępstw od reguły) rodzice zmądrzeli na tyle, że myślą serio o przyszłości dziecka, o jego szczęściu. Dziś decyduje wola młodzieńca, a jego powołanie jest drobiazgowo i skrupulatnie kontrolowane Dlatego Breza... ale to już do rzeczy nie należy.

Realizacja „Klątwy" na scenie krakowskiej oparta została na podejściu realistycznym. Zgodzę się nawet z Balickim, że było tam coś więcej, że był to realizm pełen patosu, przy czym traktowanie go było na wskroś nowoczesne. Kamienowanie młodej, scena niesłychanie niebezpieczna dla inscenizatora, była dociągnięta do jakiejś nieuchwytnej granicy, za którą czaiła się możliwość przebrutalizowania: struna jednak, do ostatka napięta, nie pękła. Stąd uczucie artystycznego nasycenia tam gdzie mogło się skończyć niesmakiem. Bronisław Dąbrowski jako realizator „Klątwy", choć cały czas szedł po cienkiej lince, nie spadł z niej: w teatrze nie było cyrku, a lina spokojnie leżała na ziemi. I w tym właśnie złączeniu ponad czasem wiszącej (z racji świadomego splecenia pierwiastków antycznego i współczesnego) „Klątwy" z ziemią (genialne wprost ujęcie i operowanie chórem) widzę wielką zasługę Dąbrowskiego.

Z wykonawców na plan pierwszy wybiła się Zofia Rysiówna jako Młoda. Postać przez nią stworzona miała rysy tak wyraziste, że wszystkie mylne ujęcia tej sylwetki były niemożliwe. Każdy nastrój, każde przeżycie, każdy wstrząs Młodej tłumaczyła Rysiówna w sposób niesłychanie precyzyjny nie tylko tekstem Wyspiańskiego, ale sposobem jego wypowiadania i gestem. Kiedy powiedziała: „Jako gołębie żyłam Boże" uwierzyliśmy, że błąd jej leży poza świadomością, że w sumieniu swoim czuła się bezgrzeszną. Władysław Woźnik (ksiądz) w pierwszych scenach nie bardzo jakoś mógł się uporać z trudnym tekstem — do-

*) Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie St. Wyspiański: „Klątwa" i „Warszawianka".
Teatr Polski w Warszawie — St. Wyspiański „Cyd".

SZACHRAJ

Rachunek prawdopodobieństwa daje nam możność wyjaśnienia tych faktów w sposób ścisły, okazuje on bowiem że prawdopodobieństwo całkowitego oddzielenia 1000 białych cząstek od 1000 czarnych cząstek po wstrząsie wyraża się liczbą $0{,}489 \times 10^{\cdot 600}$, to jest 489 poprzedzone 600 zerami z prawej strony punktu (taki ułamek dziesiętny); około dwunastu wierszy zer w zwyczajnej książce.

Jest oczywiste, że wykładniki ponad 100 tracą wszelkie znaczenie dla ludzi. Może potrzeba tu będzie wyjaśnić pokrótce czytelnikowi, nie oswojonemu z wielkimi liczbami, wyrażanymi za pomocą 10 w potęgach, znaczenie i korzyści tej metody.

Jest bardzo niewygodnie pisać wszystkie zera pewnych liczb dlatego, że trudno je czytać i zabierają dużo miejsca. Na przykład liczba cząstek w sześciennym centymetrze gazu wynosi 30 000 000 000 000 000 000. Jest to nieczytelne. Aby to uprościć przyjęto pisać tę liczbę 3×10^{19}, a czyta się ją: trzy razy 10 do potęgi 19. Liczba 19, zwana tu wykładnikiem, wyraża po prostu liczbę zer po ostatnim znaku cyfrowym. Tak $10^2 = 10 \times 10 = 100$; $10^3 = 10 \times 10 \times 10 = 1000$; $3 \times 10^3 = 3000$. Itd.

Znakowanie to często powoduje niejasność pojęć, ponieważ potęgi 10 wzrastają z niewyobrażalną szybkością. Na przykład ocenia się wiek ziemi na około 2000 milionów lat, po naszemu $2 . 10^9$ lat. Wyrażając tę liczbę w stuleciach otrzymamy $2 . 10^7$ wieków. W tym czasie upłynęło mniej niż 2×10^{12} dni i mniej niż 2×10^{17} sekund. Ta ostatnia liczba przedstawia **całą historię ziemskiego globu,** całość ludzkiej rzeczywistości.

Aby dostać się do większych liczb musimy zwrócić się do wieku słońca, który, według wszelkiego podobieństwa (zgodnie z nowoczesnymi teoriami) nie przekracza 5×10^{12} lat 5×10^{20} sekund. Odległość ziemi od słońca wyrażona w mikronach (1/1000 milimetra) wynosi tylko 150×10^{15}, a do najbliższej gwiazdy Alfa Centauri mamy ledwie 40×10^{21} mikronów. W sześciennym centymetrze gazu mamy aż 10^{19} cząsteczek, ale w całym wszechświecie, łącznie z najdalszymi gwiazdami mamy mniej niż 10^{79}. Powyższa metoda używa też wykładników ujemnych, takich jak — 100. Ujemny wykładnik (poprzedzony znakiem minus —) oznacza po prostu, że liczba jest podzielona nie pomnożona: $3 \times 10^3 = 3/1000 = 0{,}003$.

A teraz, gdy już czytelnik jest przygotowany, możemy przejść do rzeczywistego zagadnienia. Z powodu olbrzymiej złożoności problemu jest niemożliwe dać tu podstawy rachunku, który by umożliwił ustalenie prawdopodobieństwa spontanicznego pojawienia się życia na ziemi. Wszelako możemy tę sprawę uprościć, jeśli spróbujemy obliczyć prawdopodobieństwo pojawienia się, dzięki czystemu przypadkowi, pewnych istotnych składników życia, większych cząstek, na przykład protein. Elementarne cząstki (molekuły) żywych organizmów są charakterystyczne bardzo znacznym stopniem dysymetrii w każdym wypadku. Otóż widzieliśmy już, że stopień dysymetrii może być wyrażony liczbą zawartą między 0,5 i 1. Liczba 1 odpowiada maximum dysymetrii (w przypadku białych i czarnych cząstek np. zachodzi to wtedy, gdy wszystkie białe są po jednej stronie, a wszystkie czarne po drugiej); liczba zaś 0,5 odpowiada doskonałej jednorodności (symetrii) — najbardziej symetrycznemu rozmieszczeniu (w naszym przykładzie białe pomieszane najbardziej równomiernie z czarnymi cząstkami). Najbardziej prawdopodobne fluktuacje (lekkie odchylenia od równej liczby) skupiają się w pobliżu stopnia dysymetrii 0,5.

Obliczeń tych dokonał profesor Charles-Eugène Guye dla cząstki (molekuły) o stopniu dysymetrii równym 0,9, w której liczba atomów równa jest 2000. Dla znacznego uproszczenia problemu przyjął on, że atomy, składające się na tę fikcyjną molekułę proteinu, są tylko dwóch rodzajów, gdy w rzeczywistości jest ich zawsze co najmniej cztery rodzaje — węgiel, wodór, azot, tlen, oprócz miedzi, żelaza, bądź siarki, jako zazwyczaj występującą w proteinach. Inne uproszczenie — ciężar atomowy tych atomów przyjęty za równy 10, co daje ciężar atomowy całej cząstki 20 000. Liczba ta jest prawdopodobnie niższa od analogicznej liczby dla najprostszego proteinu (dla proteinu jaja kurzego — 34,500).

Prawdopodobieństwo, że ukształtowanie o stopniu dysymetrii równym 0,9, pojawi się w tych tak uproszczonych warunkach (co bardzo sprzyja prawdopodobieństwu), wyniesie (jeśli będzie działał czysty przypadek): $2{,}02 \times 10^{\cdot 321}$ czyli $2{,}02 \times 10^{1/321}$.

Objętość materii koniecznej dla zajścia takiego przypadku przechodzi wszelkie wyobrażenie. Trzeba by tu bowiem kuli o promieniu tak wielkim, że światło musiałoby go przebywać 1082 lat. Objętość ta jest większa od objętości całego wszechświata wraz z najdalszymi galaktykami, od których światło wędruje do nas tylko 2×10^6 (dwa miliony) lat. Krótko mówiąc musielibyśmy sobie wyobrazić objętość większą sekstylion sekstylionów sekstylionów razy od wszechświata Einsteina.

Prawdopodobieństwo, że pojedyńcza molekuła o wysokiej dysymetrii utworzy się dzięki działaniu przypadku i normalnego poruszania termicznego, jest praktycznie żadne. Rzeczywiście, jeśli przypuścimy 500 trylionów wstrząsów na sekundę (5×10^{14}), co odpowiada częstości drgań światła (dla długości fali zawartej między 0,4 i 0,8 mikrona), to znajdziemy, że czas, konieczny dla utworzenia, przeciętnie biorąc, jednej takiej — jak wyżej — molekuły, w objętości naszego ziemskiego globu, wynosi około 10^{243} bilionów lat (12^{243} zerami).

Lecz nie możemy zapominać, że ziemia istnieje zaledwie 2 biliony lat i że życie pojawiło się na niej dopiero bilion lat temu, wtedy mianowicie, gdy ziemia się już ochłodziła (1×10^9 lat).

I tu znajdujemy się w przypadku gracza w kości, któremu rozpadła się kostka i który nie ma czasu, koniecznego do wykonania tylu rzutów, ile potrzeba dla otrzymania jednej szansy. Czas jego jest 300 lub 400 razy za krótki; a nasz czas, czas ziemi, jest więcej niż 10^{243} razy za krótki.

Z drugiej strony możemy zawsze uznać, że, jakkolwiek mała jest szansa, to jednak istnieje i że nie ma dowodu na to, że rzadkie ukształtowanie pojawi się tylko przy końcu bilionów i bilionów stuleci. Może się ono przytrafić z początku, w pierwszych kilku sekundach. Jest to nie tylko doskonale zgodne z rachunkiem, ale nawet można przypuścić, że zjawisko takie zajdzie po dwakroć, a nawet po trzykroć z kolei, a potem już nigdy praktycznie. Wszelako, jeśliby się to nawet i zdarzyło, to, jeśli zachowujemy nasze zaufanie do rachunku prawdopodobieństwa, musimy to uznać za cud, a wynik da tylko **jedną pojedyńczą molekułę** lub najmniej dwie czy trzy.

Samo życie nie wchodzi tu nawet w rachubę, chodzi tu tylko o jedną z cząstek substancji, jakie się składają na istoty żyjące. Otóż jedna cząstka nic nie daje. Potrzeba tu setki milionów cząstek identycznych. Potrzebowalibyśmy znacznie większych liczb, by „wyjaśnić" pojawienie się serii podobnych cząstek. Ogromnie wzrastające nieprawdopodobieństwo, jak to już widzieliśmy, dla każdej cząstki i dla każdej serii identycznych rzutów. Gdyby się dało wyrazić matematycznie prawdopodobieństwo pojawienia się żyjącej komórki, to liczby wyżej podane wydałyby się tak małe, że można by je pominąć. Żyjąca komórka jest ogromnie złożona. W powyższym rachunku uproszczono problem świadomie dla zwiększenia prawdopodobieństwa.

Wydarzenia, które, nawet przy przyjęciu licznych doświadczeń, reakcyj czy wstrząsów na sekundę, wymagają **nieskończenie dłuższego czasu, niż oszacowany przez uczonych wiek ziemi, dla otrzymania jednej szansy — przeciętnie — pojawienia się, mogą być,** wydaje **się, uznane za niemożliwe** dla **rozumu (sensu) ludzkiego.**

W ten sposób stajemy w obliczu dylematu. Albo mamy całkowite zaufanie do naszej nauki, do matematyki i innych rozumowań, które nas uzdalniają do zadawalającego wyjaśnienia otaczających nas zjawisk — a w takim wypadku jesteśmy zmuszeni uznać, że pewne zasadnicze zagadnienia wymykają się nam i że ich wyjaśnienie dochodzi do uznania cudu — albo też wątpimy o powszechności naszej nauki i możliwości wyjaśnienia wszelkich naturalnych zjawisk przez czysty przypadek; i znów wracamy do cudu, czyli ponadnaukowej działalności (interwencji).

W obu wypadkach dochodzimy do wniosku, że obecnie jest zupełnie niemożliwe wyjaśnić naukowo wszystkie zjawiska, dotyczące życia, jego rozwoju i postępującej ewolucji.

Jest wielka luka w naszej nauce. Między żyjącą i martwą materią jest przepaść, nad którą nie jesteśmy zdolni zbudować mostu. Inna taka przepaść istnieje w królestwie cząstek, między elektronami, tworzącymi atomy, i między samymi atomami. Możemy się spodziewać, że któregoś dnia nauka zbuduje most nad tą przepaścią, obecnie jest to jednak czyste życzenie.

Prawa przypadku oddały już i jeszcze oddadzą niezmierne usługi dla nauki. Trudno pojąć, co byśmy bez nich robili, ale wyrażają one tylko godne podziwu, subiektywne pojmowanie (interpretację) pewnych zjawisk nieorganicznych i ich rozwoju. Nie dają one natomiast prawdziwego wyjaśnienia obiektywnej rzeczywistości. Nie mogą one wyjaśnić faktu, że **właściwości komórki pochodzą z koordynacji złożonej,** a nie z chaotycznej złożoności mieszaniny. Ta przechodząca, dziedziczna, ciągła koordynacja (uporządkowanie wymyka się wszelkim prawom przypadku.

Aby badać najbardziej interesujące zjawiska — życia i człowieka, zmuszeni jesteśmy zatem odwołać się do przeciwieństwa przypadku (trafu), Antyszansy, jak to nazwał Eddington; do „Szachraja", który systematycznie gwałci prawa wielkich liczb, prawa statystyczne, przeczące jakiejkolwiek indywidualności badanych cząstek.

To czyni naukowo niemożliwą materialistyczną koncepcję życia.

Lecomte de Noüy

---

piero w zakończeniu zabłysnął swą klasą. Ciekawą w ujęciu i wyborną w niekłamanej swobodzie prostackich ruchów sylwetkę stworzył Bolesław Smela (Parobek). Osobne słowa uznania należą się chórowi.

***

Z „Warszawianką" w Krakowie poszło nieco gorzej. Coś się tam nie kleiło. Może istota mego niezadowolenia leży w tym, że cokolwiek by mi tego wieczora (bezpośrednio po „Klątwie") pokazano, przyjąłbym jako niepotrzebny już naddatek, wydaje mi się jednak że silna ręka reżysera, tu może zbyt pochopnie popuściła wodze wykonawcom.

Postać Marii należy chyba do najtrudniejszych w naszej literaturze dramatycznej. Trudność polega między innymi na tym, że nikt nie potrafi powiedzieć, jaką ona winna być w istocie. Boją się, że jest niemożliwe pogodzić w jednej sylwetce kontrasty w skali od uczuć czysto osobistych aż do symbolizowania Polski. Stąd też każda wykonawczyni, z reguły niemal narażona jest na grymasy recenzentów. Niechże ktoś z nich podpowie p. Jaroszewskiej jaką miała być — wówczas pogadamy. Występ Solskiego w historycznej już roli wiarusa, jakkolwiek wejście jego na scenę nie było, reżysersko rzecz biorąc, dobrze przygotowane, bo nikło wśród zbytniej wrzawy zebranych, nadało spektaklowi swoisty i na długo pamiętny urok.

***

Realizacja „Cyda" w Warszawie oparta została na zupełnie innych założeniach. Skoro się już dorzuciło w koncepcji inscenizacyjnej, z innej sztuki Wyspiańskiego zapożyczone słowa drugiego prologu i epilogu. skoro się już przypomniało: „Teatr mój widzę ogromny" — trzeba było zrobić ten teatr ogromnym nie tylko w treści (o to już zatroszczył się Wyspiański) ale i z formy.

Edmund Wierciński (podobnie jak to było z katowicką realizacją „Dwu teatrów") użył w tym celu wszystkich możliwych środków. Wielopłaszczyznowość sceny (dzieło Teresy Roszkowskiej), wspaniałe operowanie światłem. dopasowane do ogólnego założenia rekwizytów, wszystko to stwarzało nastrój misteryjny, wizyjny.

Antyczne akcenty „Cyda" uwypuklały się w tej oprawie bardzo wyraziście przyczym jednak, właśnie odwrotnie niż u Dąbrowskiego, wiek XI nigdy nie zmienił się w wiek XX. Trwał w jakimś oddzieleniu, jakbyśmy spojrzeli nań z gwiazdy o odpowiednią ilość lat świetlnych od ziemi odległą. Wierciński nie szukał w „Cydzie", jak się to praktykuje dość często, uaktualnień, inaczej być nie mogło skoro w epilogu i w prologu miało się wywołać ducha artysty, którego czterdziestą rocznicę odejścia od żywych w ten sposób uczczono.

***

W atmosferze przejmującej wielkości potoczyła się akcja „Cyda". Od pierwszej sceny, od chwili kiedy Szimena powiedziała:

„Bo wielkie szczęście los
zazdrosny ściga.
Gdy człowiek naprzód dolą swą
się cieszy,
Już tajemnicze, niezgadnione
moce
cios dłań gotuje. co szczęście
druzgoce".

widownię przeniknęła krańcowość wewnętrznych konfliktów wszystkich niemal bohaterów.

Oto problem Don Rodryga:
„Jakoż niewiernym być dla miłej,
Jakoż niewiernym ojcu niemu?"
Szimena nie ma łatwiejszego życia.

„To serce niegodziwe
myśl moją zemście kradnie".

I tak wszyscy. Szarpią się, szamocą wewnętrznie. drogi wyjścia z między młota i kowadła znaleźć nie mogą. Jest w tej szarpaninie jakaś groza. coś z niej udziela się słuchaczowi. coś nim potrząsa, choć konflikt to niedzisiejszy. Przecież każdy z nas miał, ma lub będzie miał sytuację pozornie bez wyjścia. I nie wiem czemu przypominają się inne słowa tegoż poety:

„Jakżesz ja się uspokoję
pełne strachu oczy moje,
pełne grozy myśli moje,
jakżesz ja się uspokoję..."

Odprężenie w gmatwaninie uczuć wnosi Infantka mówiąc w ostatnim akcie:

„Żegnajcie, — bądźcie zdrowe
miłości sny szalone!
Po życie sięgnę nowe:
we szczęściu ludu mego
w bólu i łzach święcone".

Ale... przecież jej dramat nie jest skończony. Wierzymy w jej nowe życie — czy wolne ono będzie naprawdę zupełnie od miłości snów szalonych? Czy dr. Judym naprawdę znalazł swoje szczęście?

No. cóż... powiedział Rembrandt: „trzeba bardzo cierpieć"... by doznać odkupienia.

Przepraszam za te impresje i wracam do spektaklu.

Wykonawcy, jak to, ku naszej radości, najczęściej w Teatrze Polskim bywa, porwani wspaniałą wizją tekstu, wywiązali się ze swoich zadań niemal bez zarzutu.

Elżbieta Barszczewska, zawdzięcza swą rolę nie Corneille'owi. lecz genialnemu twórcy parafrazy, wycieniowała niesłychanie subtelnie i ujmująco wszystkie zmiany nastrojów. Od niezdecydowania od załamań wewnętrznych przechodziła do uczucia triumfu. z racji wyrzeczenia, w sposób zgoła niecodzienny.

Nina Andrycz wydobyła z roli Szimeny cały patos dumnej córki zbyt dumnego ojca i nastrój na nic nie baczącej kochanki. Wspaniałe zwłaszcza były wszystkie odruchy pełne żywiołowego temperamentu: tak nad rozumem zwycięstwo odnosiło uczucie.

Jan Kreczmar, zdawało się, nie podźwignie roli Rodryga. Wskazywała na to niebezpieczeństwo szósta scena pierwszego aktu. Monolog ten miał pewne skazy wynikające z nieuwidocznienia całego crescenda w jaki konflikt psychiczny tu narasta. Później jednak wszystko poszło znacznie lepiej, a wstawione w akcję „dopełnienie" (opowiadanie Rodryga), było świetną pointą dobrze postawionej roli. Inni wykonawcy jakkolwiek mniej mieli do powiedzenia zasługują na uwagę, gdyż stworzyli sylwetki wzorowo bliźniacze z podanymi w tekście.

Mieczysław Markowski

P. S. W recenzji ze „Ślubów Panieńskich" (patrz Nr. 2 „Dziś i Jutro" gorliwość korekty zmieniła nazwisko odtwórczyni roli Klary. Skoro przyznałem się do wzdychań, to... jasne: nazwisko znam. Brzmi no: p. Mieszkówna. Pocieszam się, że podobny błąd popełnił sprawozdawca „Odrodzenia".

(Dokończenie ze str. 3-ej)

jest niski. Politycznie reprezentu ją zawsze aktualną linię Departamentu Stanu. Coraz częściej najbardziej poczytne rubryki, jak sport i widowiska, drukowane są w języku angielskim. Młodzież przestaje czytać po polsku.

Charakterystycznym obyczajem Polonii są częste manifestacje i parady. Widziałem taką paradę w końcu września na „Pulaski Day", Piątą aleją, główną arterią Nowego Jorku, przez pięć godzin maszerowały grupy regionalne i przeróżne organizacje polonijne w fantazyjnych strojach. Przed każdą orkiestrą bieg nie jedna lub kilka baletowo ubranych panienek, machając nogami i robiąc dziwne sztuki z pałeczką dyrygencką. Gdy po klęsce wrześniowej przyjechała do Ameryki delegacja rządu polskiego, Polonia urządziła defiladę. Nastrój był żałobny i gdy panowie z delegacji nagle zobaczyli tańczące i rozebrane, kolorowe panienki chcieli uciekać z trybuny myśląc, że zaszła pomyłka. Ja też myślałem, że zaszła pomyłka, gdy siedząc na trybunie nie daleko od gubernatora Deweya zorientowałem się, że orkiestra gra bez przerwy „O cześć wam panowie magnaci" — zaniepokojony o ład społeczny Ameryki, spytałem są siada, co to ma znaczyć. „Bardzo lubimy tą melodię" — odsapnął gruby pan z cygarem. Obyczajów Polonii trzeba się długo uczyć.

W sumie życie Polonii przypomina życie prowincji polskiej sprzed 50-ciu lat. Amerykanie polskiego pochodzenia dopiero zaczynają swój start społeczny w Stanach. Zorganizowana w tym roku w hotelu As „Waldorff-Astoria" wystawa przemysłu polonijnego, była dowodem dużej żywotności na tym odcinku Już dzisiaj można by wymienić kilkanaście nazwisk polskich odgrywających poważną rolę w przemyśle Ameryki. Z życiem kulturalnym jest znacznie gorzej. Intelektualnie zacofanie i zupełna martwota. Stąd całe inteligenckie uchodźtwo polskie ostatniej wojny nie znalazło wspólnego języka z Polonią i stworzyło własne, bardzo smutne, ghetto. Mimo sześciomilionowej Polonii literaci i artyści zawiśli w próżni.

Dominik Horodyński

Przegląd prasy literackiej

Szkoda, że nie utrzymał się zwyczaj wydawania solennych numerów noworocznych. To była dobra tradycja. Dobra? Dla czytelników! Redaktorzy nie mogli wtedy nawet odsapnąć po benefisach gwiazdkowych. Zaraz potem czekał ich drugi — równie poważny wysiłek. Dzisiaj wolą hurtem zaopatrzyć nas na dwa tygodnie. Ekonomiczniej dysponuje się teraz papierem... i... materiałem intelektualnym. Święta wyczerpują. Tygodniki wychodzą po nich na pierwszy rzut oka jakby trochę chudsze. Czy „wypsztykane" z inwencji? Nie powiem. Zresztą — zobaczymy. W „Tygodniku Powszechnym" Antoni Gołubiew raz jeszcze rozprawia się z mitem katastrofalnego bohaterstwa na marginesie świeżo wznowionej Warszawianki w Wyspiańskim w Krakowie.

„Na scenie brzmi cały czas deklamacja, wtedy gdy chodzi o byt narodu. Wielkimi słowami osłania się rzeczywistość, lecz co jest za tymi słowami? jaka moralność? I fikcja ta żyje do końca utworu...

...To nie jest prawdziwa wola życia, wola życia w najgorszych nawet warunkach, wielka cnota wiary i nadziei, to tragiczna cecha narodowego charakteru, cecha, za którą tylekroć musieliśmy płacić ruinami i śmiercią. A przecie przez cały okres niewoli śpiewaliśmy inne słowa, słowa nie zawierające dylematu, stwierdzające naszą wiarę w siebie:

Jeszcze Polska nie zginęła,
póki my żyjemy.

„Żyjemy"... Jakież banalne, nieromantyczne słowo!

„Warszawianka" jest tragedią niekoniecznych ofiar, poniesionych dla wielkiego gestu, jest tragedią owego poety, składającego wiązankę róż na pomniku Kopernika, jest tragedią nieoceniania rzeczywistości wedle niej samej, lecz wedle skrwawionej wstęgi, ważniejszej niż dywizja, jest tragedią fałszywego patosu, jest tragedią wiary w wyimaginowane wartości, jest tragedią szlachetnych uczuć, którymi się usprawiedliwia obawę spojrzenia prawdzie w oczy, jest tragedią nieodpowiedzialności — jest wielką tragedią narodową. Tak na nią patrzymy na przełomie roku 1947 i 1948".

Słusznie, ale czy te kompleksy nie zostały do pewnego stopnia już przezwyciężone. Przywódcy bywają szaleni, ale tłum polski jako żywo nie sprawia wrażenia społeczności mgławicowo romantycznej. Nie róbmy nowego mitu. Potrafimy być bardzo praktyczni. W okresie największych reform społecznych nurtuje dziś wielu iście okupacyjna pasja gorączkowego robienia pieniędzy. Psychologia awanturniczych groszorobów określa nas na pewno lepiej niż wszystkie dramaty wytykające narodowi jego nierealność.

W oczach zagranicy uchodzimy za demonicznych spryciarzy. Ktoś powiedział, że bez udziału Polaków czarna giełda Europy nie mogła by istnieć. Mówmy szczerze: Nasi „specjaliści" biją na głowę gangsterów. Dopomaga im do tego romantyczny trening wyobraźni pracującej na wielkich obrotach handlowych. Nasz rycerz z pozoru liryczno - heroiczny jakże często nosi w piersiach serce... rycerza przemysłu!

Proces Dolewskiego to temat do nowej tragedii. Któż nareszcie ukaże ów proces zwyrodnienia inwencji pionierskiej, która mogła się wyżyć w epoce anarchii kapitalistycznej przyszła jednak troszeczkę... za późno.

Z czego ludzie nie robią dzisiaj profesji. Wystarczy przeczytać reportaż Andrzeja Bobkowskiego Lourdes w tymże „Tygodniku Powszechnym", by zdać sobie sprawę z triumfalnego cynizmu kupczących świętością handlarzy:

„W krzykliwości reklam, w jarmarcznym handlu Wielką Tajemnicą, w wyziewach wina ludzi czerpiących cudowną wodę spod rzędu kurków, podobnych do tuszów we wzorowej łaźni, w tym wszystkim idzie bezlitosna gra o całą stawkę serca, którą jest się skłonnym postawić w Lourdes. Kto da się zwieść temu i postawi ją tylko na stole pozorów, ten przegrał i nie może nie przegrać. Przy ulicy biegnącej w dół do groty, sklepy z lewej i z prawej są jak dwa rzędy ludzi z pałkami. Niemal fizycznie odczuwa się tępe razy, zadawane przez każdą wystawę, napisy, zachwalania. W połowie drogi upada się wprost pod uderzeniem wielkich liter, głoszących w poprzek całego domu, że tu znajduje się sklep pamiątek należących do jakichś potomków św. Bernadetty Soubirous. Nie wiem jakich, bo odwróciłem głowę, ale jestem pewny, że pretensje o małe obroty kierowane są do dziś dnia przez tę rodzinę wprost do ich świętej krewnej. Nie mogę opędzić się wrażeniu, że z tego sklepu dobiegają mnie grube, potoczne słowa: „Dis dons Bernadette — ca va pas dans la boutique". Tu, na rogu, sprzedają pod ludnym bistrem specjalne butelki na wodę z Lourdes, wykrzykując głośno ich aluminiowe zalety, a obok przysiadła kobieta z pełnym koszykiem płaskich flaszeczek koniaku z kieliszkową nakrętką. „Kupujcie na drogę". Butelki z cudowną wodą, powiązane za szyjki razem z butelkami wina, zwisają na sznurkach z ramion ludzi i dzwonią. Sklepy, pamiątki, medaliki, kupcy i pielgrzymi — wszystko jest jakby na „ty". Z kim? Brak wprost odwagi na odpowiedź. Modlitwa nabiera w tym cech podania o doraźną zapomogę u władz, wybranych głosami tego tłumu; i daje on jakby dyskretnie do zrozumienia, że skoro tak jest, a więc... Coś jakby groźba, że jeżeli nie, to ostatecznie wyborczą kartkę wiary można stąd łatwo wycofać".

Duch kramarskiego merkantylizmu nie może bezcześcić miejsc świętych. Tym przekupniom przydały by się ewangeliczne powrozy i to na goły grzbiet. Andrzeja Bobkowskiego czytaliśmy wielokrotnie w „Nowinach Literackich". Cechuje go niezwykła świeżość sformułowań, ostrość widzenia rzeczy. To jest drapieżny stylista, a takich dziś coraz mniej. W publicystyce przeważa gadanina przepisowo standaryzowana, tchórzliwa anemia słowa, maniakalna ostrożność ludzi niezdolnych się komukolwiek narazić.

Dawniej nie trzeba było czytać autora, żeby go poznać. Po czym? Po specyficznej grze słów, po pasji i wynalazczości, bo białkach i żółtkach, żeby nie powiedzieć więcej... Dziś w dobie biurokratycznego realizmu młodzi publicyści ględzą polonistycznym żargonem referatów uniwersyteckich. Nie odróżnia się artykułu od rozprawy, czy dysertacji, w składnię wlazła nuda, urzędowa skleroza odświętnych przemówień.

Idzie kryzys stylu. Salutowanie schematów. Nasz język zepsuł się zmechanizował. Toczy go bakcyl szarzyzny. Słychać w nim rechot maszyn regularnie młócących banały. Temperament zastępuje tania ordynarność. Dobrowolski nie ma w sobie nic ze Słonimskiego. Nie wykształcił własnej techniki uderzeń. Chyba tylko Majdański i Kisiel utrzymują dziś jeszcze tradycję kipiącego nurtu błyskotliwej polszczyzny. Tego dziś nadaremnie się szuka w artykułach i felietonach. Cóż dobra szkoła zanika! Na lewicy poza Brezą i Kottem na próżno byś szukał twórców niepodzielnie własnego rodzaju. Ale w Grenadzie zaraza! O tem że wychodzimy z formy, że brak nam zacięcia i stylu wie dzisiaj każde dziecko. Na ten fatalny objaw zwraca uwagę Ksawery Piwocki w doskonałym artykule pt. „Kultura i forma", zamieszczonym w ostatnim numerze „Nowin Literackich":

„W licznych pismach czytamy utyskiwania na chamstwo pasażerów w tramwajach, czy pociągach, w szkołach, na boiskach sportowych. Nikt dzisiaj nie wie dobrze, jak się zachować wobec demokratycznego ministra, jak objawiać swój entuzjazm na licznych manifestacjach — wszystkie większe zgromadzenia, zabawy, zebrania, pochody — przebiegają jakoś blado, martwo: bez formy. Cywilizacja dzisiejsza, zrodzona w tyglu ciągłych wstrząsów rewolucyjnych ustrojowych, ekonomicznych imigracyjnych — jest kulturą bez formy własnej. Wszystkie — jeśli chodzi o kulturę towarzyską — przepisy „demokratyczne" Kamyczka w „Przekroju" są okruchami jakichś dawnych form, niezawsze możliwymi do utrzymania, choć zapewne czcigodnymi odpadkami dawnych obyczajów i nawyków. Brak form towarzyskich, brak uświęconych form prawnych, wciąż zmieniających się w ogniu rewolucyjnych przemian, brak tego, co nazywamy stylem życia, jest charakterystyczną cechą naszej kultury i pierwszej bodaj w dziejach kultury bezforemnej. A kultura, która nie umie stworzyć własnej formy, przestaje być właściwie kulturą."

W tym samym numerze poeta francuski Louis Aragon przypomina dramatyczne perypetie Zoli skazanego w związku ze sprawą Dreyfusa. Czytamy tam m. in.:

„Prześladowano w nim pisarza oraz prawo sądzenia i mówienia prawdy. Świadomie lub nieświadomie pozbawia się pisarza tego prawa, usiłuje się je zniwelować, wołając doń: „Tylko nie polityka!", — i odtwarzając na podstawie dzieła Zolę z brązu lub marmuru, którego pasja z owych czasów powinna być już tylko martwą namiętnością".

I dalej:

„Oskarżony Emil Zola powiedział przed sądem: „Zapytuję generała de Penieux czy wierzy, że można służyć Francji różnymi sposobami. Można to uczynić szablą i piórem. Generał odniósł widocznie wielkie zwycięstwa. Ja szczycę się swoimi. Moje książki rozniosły francuską mowę po całym świecie. Przekazuję potomności imię generała de Penieux i Emila Zoli: ona wybierze".

Wybrała! I nieraz jeszcze wykaże absolutną nicość koniunkturalnych strachów na wróble. Któż dzisiaj pamięta nazwiska publicznych oskarżycieli Flauberta. Kogo to obchodzi? Urzędnicy prześladujący artystów są statystami ich sławy. „Giną śmiercią śmieci". Wszystko co wielkie i nowe budzi nienawiść gromowładnych pcheł. Pisarz niezbuntowany w stosunku do swojej epoki zapada się w ciemność z nią razem. Entuzjastycznych pochlebców historia karze milczeniem. Aragon nie ma racji gdy twierdzi, że wielkość Zoli jest funkcją jego politycznego poglądu na świat. Te rzeczy trzeba odróżniać. Jeśli zechcemy je łączyć cóż uczynimy z Hamsunem? Nikt nam nie udowodni, że talent zależy od postępowych czy reakcyjnych przekonań człowieka, który go posiada. Zola był twórcą nowego kierunku w literaturze. Dlatego w niej pozostał.

Nie możemy się dzisiaj oderwać od „Nowin Literackich". Numer jest frapujący. Z artykułami warto dyskutować. Niezwykle interesująco brzmi sprawozdanie Juliana Maliniaka z ostatniego kongresu PPS. Autor bardzo odważnie i śmiało rozprawia się z fikcją, jakoby współczesne rewolucje robione były przez większość społeczeństwa:

„Podczas, gdy na Wschodzie w pierwszych lat dziesiątkach bieżącego stulecia przeważał ustrój rolny, wytwarzający stosunkowo nieliczną warstwę robotników przemysłowych, europejski Zachód stał się domeną wielkiego przemysłu fabrycznego, zatrudniającego coraz to liczniejsze rzesze proletariatu miejskiego. Przewrót, który w 1917 roku dokonał się w Rosji pod wpływem doznanej przez nią klęski na polach bitewnych podczas pierwszej wojny światowej, przybrał postać rewolucji społecznej. Bojową jej awangardę stanowiła prężna i niezwykle aktywna mniejszość robotnicza, sprawująca rewolucyjną dyktaturę nad większością, składającą się przeważnie z małorolnej lub bezrolnej masy chłopskiej. Na europejskim Zachodzie, gdzie wzmacniające się nieustannie uprzemysłowienie typu fabrycznego powiększało ustawicznie liczbę robotników miejskich, nie notujemy gwałtownych przewrotów społecznych, lecz stopniowy postęp w sytuacji miejskich mas pracujących.

Dokonywa się on w trybie reform społecznych, uzyskiwanych w przebiegu walk staczanych w ciałach parlamentarnych przez przedstawicieli robotników w oparciu o masowe organizacje polityczne. W ostatnich latach po drugiej wojnie światowej reformy parlamentarne, przedsiębrane przez rozporządzające większością reprezentacje robotnicze, sięgają nieraz w głąb ustroju społecznego, podważając uświęcone w świecie kapitalistycznym prawo własności".

Pozostaje „Odrodzenie". Większą część numeru wypełnia spis treści. Dwa artykuły biją w amerykański przemysł filmowy inspirujący śledztwo przeciw komunistom. Niestety swoboda przekonań wszędzie ma swoje granice. Świat staje się coraz mniej demokratyczny. Żyjemy w epoce manii prześladowczych. Psychozy, które nas dręczą będą za sto lat czymś niepojętym i patologicznym.

„Wielka inkwizycja amerykańska". Efektowny tytuł. Cóż? Inkwizycje zmieniają się z wiekiem. Jest to kwestia koloru i szerokości geograficznej. Ciekawe kiedy staniemy się wreszcie odporni na ataki wściekłizny i zacietrzewienia. Pewien lekarz francuski napisał, że nienawiść posiada swe fizjologiczne źródło w rozpowszechnionej dziś nadczynności tarczycy. Preteksty teoretyczne z biegiem czasu stają się czymś obojętnym. Doktryny szybko wietrzeją. Przeraźliwe jest podobieństwo pozornie wykluczających się postaw. Standaryzacja demonizmu — tak kiedyś te czasy określą.

M. G.

Stefan Henel

PROLOG

Oto mnie macie. Taki jestem — nie inny.
To są resztki mych słów jak wrzaskliwe pożegnalne mewy —
Za nami ląd ten sam i te same godziny
I wszystko co wspólne a może co różne — nie wiem.
Kręte wiodły nas drogi do punktów wybrzeża.
Różnie i jednako ten czas nam minął.
Czas co był, rozwiązał i czas co nas stworzył.
Przed nami morze. Kutry czekają. Płynąć!
Mój skrawek nadbrzeża kamieniem gryzie fale
Skręcony w nieba i ziemi imadle —
I kuter wątły — a mnie trzeba dalej...
To nic — popłynę. Mam żagle.
Przez kryształową zieloność jedne drugie przez mleko mgły
Popłyną kutry nasze, niesione tym samym prądem,
Który zwie się: szukanie i powrót i zawiedzione sny
I zwie się: zrywamy ze starym lądem.
Obrany tylko kierunek. Przestrzeń i meta nieznana,
Nieznana przyszłość wydarzeń i wiatr i zapas siły —
Wiem z czym dziś zrywam i wiem co zostawiam.
I nie żałuję. Choć grudkę ziemi na piersi ukryłem.
Za nami piasek i las tych, co zostali jak greckie kolumny.
Nad nami światło, co jeśli zechce, roztopi nam wosk wiary —
A my fregaty codzień odpływamy za cieniem Columba
I codzień ocean chłonie nas, zawiedzionych Ikarów.
A mimo to, mimo więzy łączące ze światem mimo rodzina,
Mimo teorie, doktryny i prawa ustanowione tej ziemi —
Codzień naszych kutrów armada w Poezje odpływa.
Nasz lud nieznany woła. Żagle na wiatr. Płyniemy!

Tydzień kulturalny

NOWE WŁADZE PENKLUBU

DNIA 16 grudnia odbyło się w Warszawie pierwsze po wojnie Walne Zebranie członków polskiego Penclubu, na którym wybrano zarząd w następującym składzie:

Prezydium: prezes Jan Parandowski, wiceprezesi: Maria Dąbrowska i Zofia Nałkowska, sekretarz generalny: Michał Rusinek, skarbnik Tadeusz Breza.

Członkowie zarządu i zastępcy: Maria Bechczyc - Rudnicka, Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastruń, Irena Krzywicka, Jan Nepomucen Miller, Gustaw Morcinek, Aleksander Wat, Adam Ważyk i Jerzy Zawieyski.

KOMUNIKAT

Latem 1948 roku odbędą się w Anglii igrzyska olimpijskie. W regulaminie ich przewidziany jest konkurs literacki. Krajowy Komitet Olimpijski w porozumieniu z Zarządem Głównym Związku Zawodowego Literatów Polskich ogłasza niniejszym eliminacyjny konkurs literacki:

1. Na utwory liryczne (np.: pieśni, ody, hymny, kantaty, ballady, proza liryczna, szkice literackie)
1 nagroda — 75.000 zł.

pięć 2 nagród po — 25.000 zł. każda
pięć 3 nagród po — 10.000 zł. każda

2. Na utwory dramatyczne (tragedie, dramaty, komedie, farsy, sztuki teatralne na wolnym powietrzu, sztuki pisane dla radio, dialog, scenaria)
1 nagroda — 200.000 zł.
2 nagroda 100.000 zł.
3 nagroda — 50.000 zł.

3. Na utwory epiczne (np.: opowiadania, nowele, epopeje, poematy naracyjne)
1 nagroda — 100.000 zł.
trzy 2 nagrody po 50.000 zł. każda

Prace opatrzone godłem z dołączoną kopertą tak samo oznaczoną i zawierającą imię, nazwisko, adres uczestnika należy przesyłać pod adresem.

Zarząd Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich — Warszawa, Śniadeckich 10 z zaznaczeniem „Konkurs Olimpijski".

Prace winny być składane do dnia 15 lutego 1948 roku.

Dzieła przysłane na konkurs powinny były być napisane w ciągu 12 Olimpiady, a więc po 1 stycznia 1944 r. i nie powinny były brać udziału w konkursie sztuki olimpiady poprzedniej.

Skład Sądu Konkursowego zostanie ogłoszony za parę tygodni.

Krajowy Komitet Olimpijski zastrzega sobie prawo łączenia i przesuwania nagród w granicach każdego gatunku literackiego

AUTORZY PISZĄ...

JERZY Szaniawski napisał nową sztukę „Kowal, pieniądze i gwiazdy". Początek drugiego aktu ogłosił noworoczny „Dziennik Literacki".

Stanisław Ryszard Dobrowolski, liryk i publicysta, napisał poemat dramatyczny p. t. „Spartakus", który wydał drukiem i wystawił w państwowym Teatrze Dolnośląskim we Wrocławiu.

Ideologicznie utwór stanowi niejako całość i rozwinięcie myśli, zawartych w zbiorze artykułów publicystycznych „Wolność — ale jaka?"

Prasa świąteczna przyniosła fragmenty nowego dramatu Wojciecha Bąka, p. t. „Święty Franciszek". Dramat ma się ukazać nie długo na półkach księgarskich.

Należy tu wspomnieć, że przed kilku tygodniami wydany został dramat W. Bąka „Sługa don Kichota".

Czekamy, kiedy te sztuki znajdą się na scenach polskich.

Mieczysław Pruszyński napisał i wydał książkę, „Nasz Przyjaciel i Towarzysz Broni". Jest to wspomnienie o ś. p. Adolfie Bocheńskim, poległym w walkach polskiego korpusu we Włoszech.

KLUB LITERACKI W CZĘSTOCHOWIE

DUŻĄ ruchliwość i żywotność przejawia Klub Literacki w Częstochowie, na którego czele stoi Stefania Podhorska - Okołow, b. redaktorka „Bluszczu", znana pisarka, kierowniczka biblioteki miejskiej im. dr. Władysława Biegańskiego.

Odczyty, prelekcje recitale, poetyckie i poranki literackie, które urządza klub, cieszą się dużym powodzeniem w sferach miejscowego społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży szkolnej.

Czterdziestą rocznicę śmierci St. Wyspiańskiego klub uczcił specjalną akademią, w teatrze Wielkim, na której p. Podhorska - Okołow wygłosiła prelekcję, zaś fragmenty z dzieł autora „Warszawianki" recytowała p. Modrakowska.

W pierwszy czwartek grudnia prof. Zakrzewski wygłosił odczyt, p. t. „Heroizm u B. Prusa", zaś w następny czwartek odbył się wieczór autorski członka klubu, Stanisława Podlewskiego. Podlewski odczytał trzy obszerne fragmenty prozy wojennej, dotąd nie drukowane, z tomów „Przemarsz przez piekło", „Stolica Wolności" i „Rapsodia Żoliborska". Tematycznie są one związane z powstaniem warszawskim.

POETA KASZUB

W miejscowości Brusy, na Kaszubach odbył się pogrzeb kaszubskiego poety Jana Tarnowskiego, znanego tutaj pod pseudonimem „Wos Budwysz".

Poeta umarł na początku wojny światowej 1939 r. we wsi Krostkowo nad Nakłem. Ostatnim jego życzeniem było spocząć na ziemi rodzinnej.

Tarnowski był twórcą kaszubskiej poezji i zarazem nawybitniejszym lirykiem kaszubskim. Napisał kilka prac naukowych związanych z ziemiami i kulturą Pomorza.

SPROSTOWANIE

W numerze 1 (110) z dn. 1—4 1948 w artykule księdza Weryńskiego p.t. „O polskich świętych", umieszczonym na czwartej stronie, wkradł się błąd drukarski. Mianowicie zamiast M. Teresa od Jezusa Mochnacka, powinno być MARCHOCKA.

Zygmunt Lichniak

Nowa książka o Mickiewiczu *)

Książka Henryka Szypera jako „zarys popularny" reprezentuje pokaźne wartości.

Od dawna wyczuwało się u nas potrzebę udostępnienia szerokim masom wiedzy, o całokształcie twórczości literackiej i działalności politycznej naszego najwybitniejszego poety. Nie zaspokoiły tego „zamówienia społeczne" broszury zbyt uogólniające zagadnienie, jak praca Baczyńskiego („Mickiewicz — człowiek i poeta"). syntezy Tretiaka („Kto jest Mickiewicz"? 1898) czy odczyty **Tarnowskiego** (1898) i **Chrzanowskiego** (1917). Zwięźlejsze prace ugrzęzły w przedmowach do wydań zbiorowych (Chmielewskiego lub Boy'a), inne utonęły w grubych tomach pism zebranych (Spasowicza), jeszcze inne zaczaiły się w encyklopediach (Kriedla) lub w rocznikach starych tygodników (Millera). Nieszczęśliwe próby omówienia kwestii „Mickiewicz polityk" zraziły do siebie całkowicie wyraźne (Śliwiński, Haecher). wielotomowe monografie (Kallenbacha, Chmielewskiego i innych) zadania popularyzatorskiego spełnić nie mogły ze względu na swój naukowy charakter i mniej lub więcej nieprzystępną dla szerszego ogółu technikę wykładu.

Nowa książka o Adamie Mickiewiczu usiłuje zapełnić lukę, udostępnić ogólny (ale niezbyt powierzchowny) zarys twórczości literackiej i działalności politycznej naszego wieszcza. Usiłowania te zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Autor zostawiwszy na uboczu multum zagadnień nie tyle drugorzędnych, ile bardzo specyficznych i poddających się analizie jedynie w ramach problematyki ściśle naukowej, wydobył sprawy najbardziej zasadnicze, zamykając ich opis w osiemnastu rozdziałach dostępnych dla odbiorców o najmniejszej nawet „wytrzymałości czytelniczej". Przyznać trzeba, że udało mu się skondensować w tej objętości wszystkie zjawiska z zakresu dwóch objętych planem dziedzin nie przeoczając prawie żadnego momentu twórczości literackiej czy działalności politycznej, o którym „zarys popularny" powinienby informować szerokie masy czytelników.

Ta kwintesencjonalność połączyła się szczęśliwie z niezbędną w takich wypadkach jasnością wykładu.

W porządku chronologicznym omówione zostały kolejno, od pierwszych utworów młodzieńczych poczynając a na paryskich wystąpieniach publicystycznych kończąc, najważniejsze dzieła Mickiewicza. Równolegle podawał autor biografię poety, tłumacząc nią i uzupełniając komentowanie twórczości literackiej. Z ulgą stwierdzić można, że na śliskiej drodze biografizmu i psychologizowania nie posunął się on za daleko, prawie we wszystkich wypadkach znajdując właściwy umiar i ostrożność w czerpaniu materiałów biograficznych, niezbędnych, rzeczywiście, w pewnych sytuacjach dla zrozumienia i oceny dzieła sztuki. Wnioski i uwagi rozproszone w chronologicznym przeglądzie dzieł i wystąpień politycznych wielkiego romantyka zsumował autor w rozdziale końcowym, omawiającym znaczenie i wpływy Mickiewicza na współczesnych i potomnych, pozwalając w ten sposób czytelnikowi zapamiętać najważniejsze fakty i rysy charakterystyczne przedstawionego mu zjawiska.

Język, jakim napisana została książka, wyrazisty, prosty, pozbawiony balastu tak ciężkostrawnej dla szerszego ogółu terminologii naukowej jest jeszcze jednym walorem,, przemawiającym za popularyzatorskimi możliwościami pracy Szypera. Walor to istotny, jeśli się zważy, że autor ma ambicję niespłycania zagadnień a przy ważniejszych dziełach kusi się nawet o przedstawienie czytelnikowi ewolucji poglądów badaczy - naukowców na daną sprawę. Może nie zawsze od razu poznaliby oni swoje wywody, a odkryliby na pewno niejedno uproszczenie, nigdy jednak nie mogliby zarzucić, omawiającemu ich postawę autorowi, modyfikowania lub tendencyjnego generalizowania ich wniosków. Partie relacjonujące ich poglądy pozbawione są najczęściej momentu polemicznego, autor wypowiada się bezosobowo, nie podaje nazwisk reprezentujących to lub owo stanowisko, co — zważywszy popularyzatorskie zamiary — poczytać należy za pociągnięcie raczej logiczne i szczęśliwe.

Dobrze się przysłużą książce trafnie w większości wypadków dobrane cytaty, a nawet, zatrącające trochę spółką Mazanowskich, streszczenia Pozwalają one autorowi nawet wobec czytelnika z trudnością przypominającego sobie lekturę dzieł mickiewiczowskich, wypowiadać wnioski i uwagi, które pozbawione tła treści, wisiałyby niejako w próżni. Dzięki streszczeniom, bardzo zresztą oględnie i logicznie dawkowanym w całości kisążki, odbiorca może śledzić bieg myśli autora w oparciu o konkretne minimum wiedzy, jakie tą streszczeniową drogą zostaje mu przekazane.

Aby w sumowaniu dodatnich stron książki Szypera jak najmniej plusów przeoczyć, należy także zwrócić uwagę na kilka szczegółów, które podnoszą jej wartość jako „zarysu popularnego". Równie planowy i przejrzysty jak całościowy układ książki jest schemat poszczególnych wykładów. Dają zwykle na początku tło biograficzne. dalej przez wykazanie jego związków z dziełem dochodzą do analizy tego dzieła, wyodrębniając w nim — w/g starych kanonów — zagadnienie formy, walorów estetycznych oraz zagadnienie treści, ideologii, walorów etycznych. Ten trochę szkolarski może podział w akcji popularyzatorskiej okazuje się do przyjęcia, jeżeli w analizowaniu treści nie poprzestajemy na „opowiedzeniu tego, co mówił poeta, ale swoimi słowami", a zagadnienia formy nie rozwiązujemy przez suche katalogowanie wątków, motywów, stop wierszowych czy klasycznych jedności. Szyper ominął drogę owej szkolarskiej łatwizny, chociaż i nad jego pracą zaciążyły złe tradycje gablotkowo-katalogowego myślenia, chociaż i on nie uchronił się od przykrych konsekwencyj, jakie pociąga za sobą sympatia dla rygorystycznych klasyfikacyj i podziałów tych zjawisk, które z natury swojej takim rygorom nie mogą podlegać. Ale o tym niżej. Tu warto podkreślić jeszcze ambitnie przez wszystkie niemal rozdziały kontynuowaną próbę wykazywania wpływów, wywieranych przez dzieła Mickiewicza na twórczość pisarzy mu współczesnych. Może trochę dziwić fakt, że znalazło się tych wpływów więcej na Wschodzie, niż Zachodzie, i że ominęły one ze zbytnią skrupulatnością przecież jeszcze nie hitlerowskie, ani nawet bismarckowskie wtedy Niemcy, ale wynagradza to czytelnikowi rzeczowość i jasność formułowanych tam spostrzeżeń. Wdzięczny będzie także autorowi czytelnik za wyraziste przez cały ciąg książki akcentowanie przejść od jednej kwestii do następnej, podkreślane drogą marginesowych podtytułów, ułatwiających znakomicie sumowanie całości. Szczęśliwym także pociągnięciem było intensywniejsze dawkowanie cytat w końcowych rozdziałach książki, omawiających działalność publicystyczną Mickiewicza. Nawet czytelnicy bardzo interesujący się poetycką twórczością naszego wieszcza rzadko w wertowaniu zbiorowych wydań jego pism docierają do tomów, które obejmują artykuły, drukowane w „Pielgrzymie Polskim" i „Trybunie ludów", czy nawet wykłady wygłaszane w Kolegium Francuskim. A bez nich przecież obraz jest niepełny. Henryk Szyper dbał o to, aby ta stosunkowo mało znana strona życia Mickiewicza znalazła właściwe podkreślenie i zaakcentowanie. Dbałość słuszna i uzasadniona. Kazała ona autorowi szperać w korespondencji prywatnej, aby wydobyć stamtąd ciekawe i cenne wyznania, prowadziła do konfrontowania odmiennych stanowisk, np. Mickiewicza, Herzena i Ramona de la Sagra. skłaniała do cytowania charakterystycznych wypowiedzi i projektów niemal w całości. Dzięki temu w końcowych rozdziałach znajdujemy wyrazistą sylwetkę Mickiewicza — polityka, przekonywującą nas o tej prawdzie, której nie trzeba chyba kryć pod korcem, że po „Panu Tadeuszu", ostatnim wielkim dziele artysty „poeta obiit et natus est politicus". Wydobycie, uwypuklenie i popularne przedstawienie tej prawdy jest zasługą „zarysu popularnego" Szypera. Autor dążył do tego zupełnie świadomie, już w podtytule wspominając o „człowieku czynu", a w krótkiej przedmowie zaznaczając, że „w traktowaniu przedmiotu szczególną uwagę poświęcono roli twórcy „Pana Tadeusza" nie tylko jako poety, ale również jako publicysty oraz działacza demokratycznego.

O ile założenie to pomogło końcowym rozdziałom, o tyle zaszkodziło całości.

Zsumowanie wielu plusów omawianego tu „zarysu popularnego" nie zabrania, a przeciwnie: zobowiązuje do podkreślenia jego braków. minusów które grożą smutnymi konsekwencjami w akcji popularyzatorskiej.

Pierwszym i naczelnym brakiem książki Szypera jest jej wyraźna tendencja społeczna, jej ideologiczno-bojówkowy charakter, ambicja pośpiesznego zaanektowania Mickiewicza do obozu lewicowego, uroczysta dążność do wypisania mu wyraźnej legitymacji partyjnej. Że jest to brakiem i błędem, świadczą następne braki i błędy, jakie poszły w parze za pierwszym. W wywodach autora spotykamy się ze zbyt pośpiesznymi wnioskami, które nie doszukawszy się usprawiedliwienia w obiektywnej wymowie faktów, znaleźć to usprawiedliwienie mogą jedynie w powziętej z góry koncepcji. Koncepcją tą było przedstawienie twórcy „Dziadów", jako konsekwentnego od pierwszych utworów młodzieżowych do ostatnich wystąpień na Wschodzie wyraźnie deklarującego się postępowca - demokraty. W imię słuszności historycznej nikt nie zamierza kwestionować lewicowych skłonności Mickiewicza po roku 1848, czy na dwa - trzy lata przed tym okresem. Na to są dowody, o tym mówią dokumenty Sami podkreśliliśmy słuszność wywodów Szypera na ten temat. Ale w imię tej samej słuszności historycznej, ścisłości analizy literackiej trudno się zgodzić z pośpiesznym i jednostronnym interpretowaniem utworów, w których się znajduje deklaracje ideowe i programy polityczne wbrew prawdzie jednoznacznych słów i wyraźnych intencyj samego autora

Łatwo się domyślić, że nie chodzi tu o jakiś sprzeciw dyktowany racjami politycznymi Chodzi jedynie o obronę praw krytyki literackiej i interpretacyj historycznych przed jednostronnością i tendencyjnością. jakie wprowadza do nich ingerencja czynników pozaliterackich i pozanaukowych.

O ich udziale w pracy Szypera świadczy pośpieszność wyciągania wniosków natury politycznej ze zjawisk, które takich wniosków nie usprawiedliwiają. Autor widzi przejawy takiej lub innej postawy politycznej tam, gdzie trudno jej się

*) Henryk Szyper: „Adam Mickiewicz. Poeta i człowiek czynu". Zarys popularny. Spół. Wyd. Czytelnik, 1947, str. 246.

dopatrzeć. Oto w „Pieśni filaretów" więcej „aluzyj do położenia politycznego, niż w Odzie" (str. 33). A dowodem tego burszowska strofa:

Oi, tam siedzą prawnicy —
I dla nich puchar staw!
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Polityczna symbolika „Ody" polega zaś na tym, „że wprowadza charakterystyczne dla wolnomularstwa symbole" (str. 32). Dla niewtajemniczonych: autor ma na myśli „kolisko" i „ognisko". Przy tak niezdrowo wyostrzonej wnikliwości łatwo wyciągać wnioski, które — trudno obronić. Romantyczny zwrot do ludowości „był... wynikiem tego, że w epoce wielkiej rewolucji francuskiej, jak i w późniejszych ruchach wyzwoleńczych wysunął się na czoło wypadków nowy żywioł — masy ludowe" (str. 34). I dalej: „Niekiedy przejawiały się w nim nurty, reakcyjne, nawiązujące do tych dziedzin ludowości, gdzie występowały jej pierwiastki wsteczne, jak: konserwatyzm obyczajowy, mistyka, magia, zabobony i partykularyzm" (str 35). W sąsiedztwie wypowiedzi tego typu znajdują swoje usprawiedliwienie najbardziej nieoczekiwane stwierdzenia. „Jeśli jednak nieszczęśliwy kochanek Lotty tak wielu znajdował w tej epoce naśladowców, dla których jego samobójczy wystrzał z pistoletu był łatwą drogą rozwiązania konfliktu i wzorem, to przyczyna tego leżała niewątpliwie **w ogólnej atmosferze powstałej u końca tego wieku, w dobie rozkładu świata feudalnego, u progu potężnych przewrotów społecznych"** (str. 52), (podkreślenie autora). Przeczuwamy i staramy się zrozumieć, że autor zbłądziwszy na manowcach metody, oscyluje między smutną wulgaryzacją teorii Hipolita Taine'a, a próbą pośpiesznego i pływającego w demagogii socjologizowania, ale nie możemy się oprzeć wrażeniu, że czytelnikowi, akceptującemu takie tłumaczenia zjawisk literackich wolno będzie poezje Przybosia wyjaśniać manifestem P.K.W.N-u, albo nowele Hemingray'a rozumieć przy pomocy danych o wartości dolara lub spadku szterlingów na giełdzie. Bez ironii. Łatwość takiego ujmowania rzeczywistości literackiej wytwarza ciężką atmosferę podejrzeń i nieufności. Bo fakt literacki jest jeden, a stanowisk społecznych multum. Jak zgodzić się i dlaczego godzić się, że fakt literacki plus interpretacja tego faktu z takiego to, a takiego stanowiska równa się prawdzie o tym fakcie. W tym leży niebezpieczeństwo „zarysu popularnego" Szypera, że oświetla on i interpretuje zjawiska przez siebie omawiane z jednego tylko punktu widzenia, sugerując czytelnikom akceptację stwierdzeń, albo ze względu na swoją jednostronność niesłusznych, albo — i to w najlepszym razie — zbyt pośpiesznych, apriorycznych, pozbawionych logicznej argumentacji. Jeszcze jeden przykład: w związku z „Księgami" Mickiewicza wypłynęła kwestia przyjaźni i dążeń ks. Lamenais'a. „Te dążenia do pojednania myśli rewolucyjnej z religią, to dopatrywanie się właściwego nosiciela idei chrześcijańskiej w obozie rewolucyjnym — wyrażało niejednokrotnie tęsknotę ludów i wybitnych jednostek za ustrojem sprawiedliwości społecznej, zanim przybrała ona postać naukową w teoriach Marxa i Engelsa" (str. 141). Mniej uważny czytelnik zanotuje w pamięci współpracę ks. Lamennais'a z autorami „Manifestu komunistycznego", a odbiorca, którego takie trio zaniepokoi, przeczyta zdanie jeszcze raz i odetchnie z ulgą, stwierdziwszy, że ks. Lamennais był tylko w stosunku do autora „kapitału" — prekursorem. Jedynie krytyk będzie widział w tym zdaniu deklarację ideową.

Atmosfera deklaracyj ideowych rzadko bardzo sprzyja naukowym, choćby w najbardziej popularnym ujęciu wywodom i wnioskom. Chcemy wierzyć, że od biedy znalazłoby się sztukowane sprytem i sofistyką potwierdzenie argumentatywne, przytoczonych dla przykładu sformułowań. Ale nie wierzymy, że stojąc na ich gruncie można badać obiektywnie dzieło Mickiewicza. Przekonywują nas o tym prowadzone z pobieżliwością wiele naszemu wieszczowi wybaczającą polemiki Szypera z Adamem Mickiewiczem, skrupulatne uwypuklanie wolteriańskiego antyklerykalizmu mickiewiczowskich tłumaczeń „Darczanki" przy jednoczesnym arcy - subtelnym, bo niemal całkowitym przemilczaniu religijnych liryków krymskich, dalej korekta socjalistycznych poglądów redaktora „Trybuny ludów", wreszcie zdecydowane odrzucenie poglądu, że „poezja stoi ponad aktualnymi sporami politycznymi". Wynikiem takich pociągnięć jest fałszywa sugestia, że już pierwsze utwory Mickiewicza sygnalizowały jego późniejsze poglądy, że w swoje utwory poetyckie kładł zamierzone treści polityczne, że okres 1848 — 1855 okres intensywnej działalności politycznej był u niego ujawnieniem bliskich mu przez całe życie zamierzeń i idei, że można go opieczętować krótką etykietką „demokrata" lub „lewicowiec". Sugestie takie stoją na poziomie stwierdzeń, że Mickiewicz głosił za reformą rolną, bo:

„Sami wolni i włościan uczyńmy wolnymi". Abstrahując od ich przydatności propagandowo - politycznej, stwierdzić trzeba ich wielką szkodliwość naukowo - popularyzatorską. Książka Szypera będzie podręcznikiem, który wezmą do ręki czytelnicy, stawiający pierwsze kroki w gąszczu wiedzy o literaturze, robotnicy, chłopi, młodzież szkolna. To zobowiązuje. Przede wszystkim do obiektywizmu, do prawdy historycznej, do jak najmniejszej dowolności interpretacyjnej. Odbiorca musi mieć prawo do samodzielnego interpretowania zjawisk. Należy mu jedynie udostępnić ich poznanie. Podawanie odpowiednich dla celów pozaliterackich preparatów interpretacyjnych jest zagrażeniem tych praw. Stwarza wyraźne sugestie, suponuje dzięki ich intensywności myśli o zajęciu stanowiska, które nie będzie wynikiem wewnętrznej potrzeby odbiorcy, ale wynikiem sił na niego oddziaływujących, znajdujących swoje źródło nie w obiektywnej treści faktów literackich, lecz w subiektywnej wierze w słuszności takiej lub innej postawy interpretacyjnej.

Nieszczęścia chodzą parami. U Szypera dążność do jak najskrupulatniejszego analizowania treści i zawartej w niej ideologii omawianych utworów, nie pozwoliła na równie intensywne zainteresowanie się ich stroną estetyczną, walorami artystycznymi. W większości analiz formalnych dostrzec się daje w „zarysie popularnym" pobieżność i schematyczność w ujmowaniu najistotniejszych nawet zagadnień. Pobieżność ta i powierzchowność nie daje się wytłumaczyć przeznaczeniem książki. Przeciwnie, skłaniać ją ono powinno do baczniejszego zajęcia się tymi sprawami. Niestety, gdyby nie końcowy rozdział, który częściowo ratuje sytuację rozproszone w siedemnastu rozdziałach rozważania nad artyzmem dzieł mickiewiczowskich nie dałyby należytego oświetlenia tak kapitalnej przecież kwestii. Zsumowania rozdziału końcowego zapełniają częściowo lukę, powstałą wskutek niewystarczającego pogłębienia pokaźnych może objętościowo, ale miernych w jakości uwag estetyczno - formalnych, rozrzuconych na marginesie omówień ideologicznych.

Te braki nie dyskwalifikują przecież książki napisanej ciekawie, planowo, przystępnie i jasno.

Zygmunt Lichniak

Z zagadnień gospodarczych

Frontem do rolnictwa

Dające się w ciągu 1947 r. zaobserwować coraz powszechniejsze docenianie roli rolnictwa dla ogólnego rozwoju gospodarki narodowej znalazło również swój refleks i we wzrastającej ilości wypowiedzi poświęconych problemom rolnictwa na łamach prasy gospodarczej. Uważając, że Polska była i jest krajem rolniczym inż. J. Blitek zastanawia się nad potencjalnymi możliwościami naszego rolnictwa (Życie Gospodarcze Nr. 23). Autor stwierdza duże zaniedbanie w dotychczasowym stanie rzeczy na odcinku rolnictwa. Z punktu widzenia istniejących możliwości nikłe są bowiem obecne wyniki, aczkolwiek osiągnięcie daleko większych rezultatów jest w obecnych warunkach łatwiejsze, niż w warunkach przedwojennych. Znacznej bowiem uległ poprawie stosunek ilości ludności do rozporządzalnej przestrzeni użytków rolnych (przed wojną wypadało na jednego mieszkańca 0,75 ha ziemi użytkowanej rolniczo, a obecnie 0,91 ha). Równocześnie uległ również pewnej poprawie stosunek gospodarstw rolnych (ilość gospodarstw do 5 ha zmniejszyła się o 1,7%, natomiast wzrosła ilość gospodarstw do 10 ha o 2% i do 50 ha o 5%).

Największe jednak możliwości istnieją w zwiększeniu plonów. Autor porównując obecną produkcję rolną z przeciętnymi (nie najwyższymi) zbiorami osiągniętymi w Niemczech, które nie rozporządzają lepszą glebą, dochodzi do wniosku, że możliwym byłoby osiągnąć poważne nadwyżki zbóż i okowych, a w szczególności żyta (4.7 milionów ton) i ziemniaków (42 miliony tony).

Wytyczne planu odbudowy gospodarczej, na podstawie których średni dochód społeczny ludności wiejskiej ma osiągnąć 1949 — 453 zł., a ludności miejskiej 1240 zł. daje podstawy do wyrażenia obawy, że planowana różnica w dochodzie ludności wiejskiej i miejskiej kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo dla całego gospodarstwa polskiego. Pamiętać bowiem należy, „że podniesienie dochodu społecznego wsi i siły nabywczej ludności wiejskiej przez podniesienie wydajności gospodarstw ułatwi przestawienie ludności przemysłowej na konsumpcję wewnętrzną", a tym samym stanowić będzie decydujący czynnik w dalszym rozwoju przemysłu. Osiągnięcie wspomnianych nadwyżek jest możliwe, ale wymagać będzie dużych wkładów kapitałowych, zarówno w samych gospodarstwach rolnych, jak i celem rozbudowy przemysłu, wytwarzającego artykuły dla rolnictwa, które są szczególnie potrzebne do podniesienia plonów (przede wszystkim maszyny rolnicze i nawozy sztuczne). Odnośnie nawozów sztucznych autor przypomina, że i przed wojną ich użycie było w Polsce jednym z najniższych w Europie (5% zużycia w Niemczech w stosunku do 1 ha). Nieznaczne ilości nawozu naturalnego dla uzyskania większej wydajności rolnictwa uzasadniają również konieczność zwiększenia pogłowia inwentarza żywego. Zwiększenie wydajności rolnictwa jest procesem długoplanowym i wymagającym dużego nakładu finansowego (nawozy sztuczne, kupno inwentarza żywego). Jednakże nie należy żałować wszelkich wysiłków w tym kierunku poniesionych, gdyż przemawia za tym nie tylko konieczność zwiększenia siły nabywczej wsi na artykuły przemysłowe oraz podniesienie poziomu wyżywienia ludności, ale również duże możliwości eksportowe, jak wreszcie i większe możliwości rolnictwa, niż w wielu innych państwach Europy, gdzie gospodarstwa rolne zbliżają się do granicy wydajności gleby.

Na ten sam temat pisze Stanisław St. Wyrobisz (Nr. 22 „Życie Gospodarcze"), podkreślając w szczególności, że w rolnictwie, prowadzonym średnio intensywnie, — nie mówiąc już o intensywnym, — produkcja jest ściśle proporcjonalna do nakładów. Na podstawie danych z lat przedwojennych wynika, że wahania produkcji rolnej uzależnione były od podstawowego nakładu, jakim są nawozy sztuczne.

Czynnikiem, który w stosunku do innych państw stwarza dodatkowe możliwości i ułatwienia w rozwoju rolnictwa jest posiadanie przez nas dostatecznej ilości rąk roboczych.

HANDEL ZAGRANICZNY

W Nr. 11 „Przeglądu Socjalistycznego" L. Grossfeld w artykule „Dynamika i perspektywy polsko - radzieckich stosunków handlowych" przypomina, że o ile przed wojną udział ZSRR w handlu zagranicznym Polski stanowił 1,1% przywozu i 0,4% wywozu, to w latach powojennych sytuacja na tym odcinku zmieniła się radykalnie (w 1946 r. 70% przywozu i 49% wywozu). Udział ZSRR w obrotach zagranicznych Polski ulega zmniejszeniu w miarę rozszerzania się stosunków handlowych Polski z innymi krajami, natomiast w cyfrach absolutnych obroty Polski z ZSRR mają z roku na rok tendencję zwyżkową.

„Ta tendencja zwyżkowa, przy równoczesnym wzroście obrotów z innymi krajami jest dowodem istnienia poważnych i stałych momentów gospodarczych, uzasadniających stały rozwój stosunków handlowych, wyrazem tej tendencji jest zamiar zawarcia kilkuletniej umowy handlowej która zapewniłaby Polsce znaczne ilości koniecznych surowców (np. bawełna, ruda) a z drugiej strony zapewniłaby Polsce rynek zbytu, a w ten sposób ułatwiłaby też planowanie produkcji.

Na marginesie uwag powyższych warto przypomnieć, że ożywione kontakty handlowe z Rosją wpływały zawsze w przeszłości dodatnio na rozwój gospodarczy ziem polskich (np. rozwój przemysłu włókienniczego w okresie Królestwa Kongresowego).

RENTOWNOŚĆ PRZEDSIĘBIORSTW

Na temat zagadnienia finansowego przedsiębiorstw państwowych R. Rejs analizuje (Życie Gospodarcze Nr 22) sposób, w jaki został rozwiązany problem przedsiębiorstw wytwórczych.

Według nowych zasad finansowych, wprowadzonych w życie uchwałą Rady Ministrów z dn. 21.8.47, każde przedsiębiorstwo, podległe Ministerstwu Przemysłu i Handlu oparte w swej działalności o samodzielną rachunkowość i bilans tworzy zamkniętą komórkę gospodarczą".

W stosunku do przedsiębiorstw wytwórczych nowe zasady finansowe mają na celu zapewnić przedsiębiorstwom potrzebną ilość środków obrotowych, tzw. normatywy środków obrotowych oraz zapewnić im rentowność. W tym celu dla każdego przedsiębiorstwa zostaje ustalona wysokość środków obrotowych, jakie przedsiębiorstwo posiadało na dzień 1 stycznia 1947 oraz ilość środków, które były rzeczywiście potrzebne dla normalnego funkcjonowania przedsiębiorstwa.

Ewentualna nadwyżka, (wynikająca z powyższego porównania) zostaje przez przedsiębiorstwo odprowadzona do Narodowego Banku Polskiego. Natomiast w tych wypadkach, w których posiadane przez przedsiębiorstwo środki obrotowe nie pokrywały na dzień 1.1.47 ustalonych normatywów (t. j. koniecznych środków obrotowych) Narodowy Bank Polski udzieli przedsiębiorstwu specjalnego kredytu, który nie obciąża kredytobiorcy, gdyż obowiązek spłacenia kredytu ciąży na Centralnym Zarządzie, któremu dane przedsiębiorstwo podlega.

Ustalone w ten sposób, jako konieczne środki obrotowe na dzień 1.1.47 nie są wielkością niezmienną. W związku z możliwościami wzrostu produkcji środki obrotowe ulec będą mogły zwiększeniu.

Przedsiębiorstwa będą więc stosownie do swych planów finansowo-gospodarczych uwzględniać wzrost środków obrotowych, który pokrywany będzie drogą kumulowania zysku przedsiębiorstw. W tym celu przedsiębiorstwa wytwórcze zbywają swą produkcję Centralom Zbytu po tzw. cenie rozliczeniowej która obejmuje koszty własne i marżę zysku (10%). W ten sposób rentowność przedsiębiorstwa uzależniona jest w dużym stopniu od tego czy koszty produkcji zostały właściwie skalkulowane.

Na podstawie uwag autora stwierdzić należy, że nowe zasady finansowe rozwiązują problem kapitałów obrotowych, gdyż 80% zysku pozostawione jest do własnej dyspozycji przedsiębiorstw, a zysk jest zapewniony przez automatyczne jego uwzględnianie łącznie z kosztami produkcji. W ten sposób rentowność nie jest uzależniona od wydajności poszczególnych przedsiębiorstw wytwórczych.

Wyjaśnić tu trzeba, że wynikające nadwyżki lub niedobory w Centralach Zbytu (które zbywają artykuły po cenach jednolitych, a płacą poszczególnym przedsiębiorstwom wytwórczym ich cenę, obejmującą koszty własne plus 10%) są rozliczane centralnie z Ministerstwem Przemysłu i Handlu. Rentowne lub deficytowe są więc poszczególne działy przemysłu jako całość.

Sprostowanie

W numerze 2 (111) z dn. 11 stycznia 48 r. tygodnika „Dziś i Jutro" do artykułu „Notujmy fakty" (Z Zagadnień Gospodarczych) wkradła się następujące błędy drukarskie, i tak, szpalta 1 wiersz 11 zamiast „osiągnięć" powinno być **„rocznymi"**,

szpalta 1 wiersz 20 zamiast „mierzyć się może" powinno być **„mierzyć się nie może"**,

szpalta 1 wiersz 24 zamiast „o streszczenie" powinno być **„O podanie"**,

szpalta 1 wiersz 34 zamiast „Zysku" powinno być **„importu"**,

szpalta 3 wiersz 27 zamiast „na przełomie" powinno być **„na przestrzeni"**,

szpalta 4 wiersz 55 zamiast „upływanie" powinno być **„upłynnianie"**.

16

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Komisarz puścił mimo uszu wzmiankę o „szpiegowskich instynktach", chociaż ją dobrze zapamiętał i chociaż sprawiła mu wielką przykrość. Postanowił jednak nie dopuścić, aby ta impertynencka dziewczyna znowu wciągnęła go w bezcelową dyskusję. Śledztwo było ważniejsze.

— Kto dokonał zabójstwa profesora?

— Nie wiem — pańskim obowiązkiem jest to wiedzieć — odrzuciła pogardliwie Alicja.

— A kto zawiadomił was o morderstwie?

Alicja milczała.

— To zrobił Edward Lore, mąż dozorczyni, prawda?

— Tak.

— Aby móc bez przeszkód dokonać porwania zwłok, zatelefonowaliście do doktora Alena, prosząc go o opóźnienie przy jazdu. Tak?

Dziewczyna wzruszyła tylko ramionami.

— Doktór Alen oświadczył, że musi mieć wobec mnie jakiś pretekst, usprawiedliwiający spóźnienie. Postanowiliście więc zainscenizować małą katastrofę samochodową. Zielonym autem kierował Edward Lore. Czy tak?

— Niech i tak będzie, ale nie rozumiem. Przecież to rzeczy całkiem drugorzędne...

— To się pokaże. Nie powiedziała pani jednak doktorowi Alenowi, że macie zamiar zabrać ciało. Powiedziała mu pani tylko, że chodzi o przetrząśnięcie pokoju.

Alicja zmieszała się wyraźnie, na policzki jej wystąpiły lekkie rumieńce.

— Skąd pan to wie, czy to doktór Alen panu mówił?

— Nie — to mi powiedział własny rozsądek. Gdyby pani uprzedziła doktora o zamiarze porwania zwłok, niewątpliwie zapytałby, w jakim celu to robicie. A tego by mu pani powiedzieć nie mogła, ze względu na...

Alicja zaczerwieniła się jeszcze silniej. Gwałtownie przerywając Gromelowi wykrzyknęła:

— Ależ na miłość boską, komisarzu, pan nie ma prawa...

Komisarz był bezlitosny.

... na stosunek, jaki pani z nim utrzymywała. Doktór Alen był bardzo zazdrosny, nieprawdaż?!

W oczach Alicji ukazały się łzy, ale nie próbowała już obrony. — To ohydne — szeptała.

— Nie mogła pani powiedzieć doktorowi, że profesor Galard po przyjeździe z zagranicy miał na piersiach i udach wytatuowane jakieś znaki, które według wszelkich przypuszczeń zawierały ostatnie ogniwo jego wynalazku. Gdyby pani bowiem powiedziała o tym doktorowi Alenowi, niewątpliwie zrozumiałby on natychmiast, że była pani również kochanką profesora i na pewno nie wnikałby w mniej lub więcej ideowe pobudki, jakie panią przy tym kierowały. Mężczyźni nie lubią żartować, gdy chodzi o takie sprawy.

Łzy upokorzenia płynęły po twarzy Alicji. Komisarz jednak nielitościwie ciągnął dalej.

— Po przyjeździe profesora z Anglii spędził on u pani jedną noc. W czasie tej nocy zauważyła pani na jego ciele tatuaż, którego przedtem nie było. Wielka to nieostrożność ze strony profesora Galarda, że...

— Proszę, proszę, niech pan mówi jeszcze brutalniej, niech pan sobie użyje — głos Alicji zabrzmiał donośnie i dramatycznie, podczas gdy Henrietta Iberra zachowywała zupełną nieruchomość, wpatrując się w komisarza błyszczącymi oczami. — Niech pan się mści za to, że pan tak długo nic nie wiedział i nie rozumiał!

Komisarz zmieszał się nieco — wybawiła go niespodziewanie Henrietta, pytając spokojnym głosem:

— Kto panu, komisarzu, podał te szczegóły?

— O tym, że profesor Galard spędził tutaj noc, wiem od funkcjonariuszów Policji Politycznej, pod których obserwacją profesor zawsze pozostawał.

Henrietta przez chwilę wpatrywała się weń przenikliwie, po czym powoli przeniosła poważny, jakby pełen wyrzutu wzrok na Alicję, która spuściła głowę.

Komisarz powrócił do przerwanego toku przesłuchania.

— Krótko mówiąc napad na mnie i porwanie zwłok profesora zostały zorganizowane i to zorganizowane bardzo dobrze. W momencie zbliżania się samochodu pani zatelefonowała do mnie i zajęła mnie rozmową, aby odwrócić moją uwagę i dać przybyłym atut zaskoczenia. Czy tak?

— Oczywiście — Henrietta była bardzo spokojna w przeciwieństwie do z trudem opanowującej spazmatyczne łkanie Alicji.

— Czy siostra pani, Luiza Lore, okazała wam przy wywożeniu zwłok jakąś pomoc?

— Nie. Siostra, chociaż była kiedyś członkiem partii, ostatnio odsunęła się w ogóle od wszelkiej pracy i zdradzała objawy jakiejś dziwnej apatii.

— Hm. Czy pani wie coś o stosunkach erotycznych, jakie łączyły pani siostrę z profesorem Galardem?

— Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

— Czy stosunek ten rozpoczął się jeszcze w X?...

— Nie wiem nic o tym, wyjechałam stamtąd znacznie wcześniej niż siostra.

— Panie pochodzą z Hiszpanii, prawda?

— Tak, nasza matka była emigrantką polityczną.

— Pani jest starsza od siostry?

— O osiem lat.

— Aha, dlatego zapewne zachowała pani akcent hiszpański, którego nie miała siostra pani.

— Najprawdopodobniej.

Zapadła chwila ciszy. Dwaj policjanci pilnujący obu kobiet wyglądali sztywno, jak wyciosani z drewna: Alicja uspokoiła się i z tępą obojętnością patrzyła przed siebie — w całym towarzystwie Henrietta najwięcej okazywała żywotności i skłonności do rozmów, do niej też adresował odtąd komisarz dalsze pytania.

— Wróćmy do sprawy. Zwłoki zostały porwane. Na drugi dzień zatelefonowała pani do mnie, aby mi zasugerować, że sprawcami porwania są ludzie Hagewanda. Miało to na celu odwrócenie mojej uwagi i skierowanie jej na fałszywy trop — nieprawdaż?

— Oczywiście.

— Telefon pani przypadkowo zbiegł się z momentem, gdy dowiedziałem się o zamordowaniu pani siostry — zrobiło to na mnie duże wrażenie. Czy nie domyśla się pani, kto mógł popełnić to morderstwo?

— Nie, zupełnie tej sprawy nie rozumiem — w głosie Henrietty brzmiał akcent szczerości.

— Na drugi dzień, gdy wychodziłem od doktora Alena, wiedziałem, że ktoś mnie obserwował. Czy nie wie pani, kto to był?

Henrietta zawahała się chwilę.

— To Edward Lore, mój szwagier — powiedziała wreszcie. Bawił on u doktora Alena w czasie pańskiej wizyty — siedział w sąsiednim pokoju i potem wyszedł za panem.

— Aha. I to on następnie dokonał na mnie zamachu za pomocą zielonego auta. Może pani nie odpowiadać, rozumiem doskonale. Jakie jest stanowisko organizacyjne Edwarda Lore?

Obie kobiety milczały.

— W każdym razie wysokie, nieprawdaż? A teraz proszę mi powiedzieć jedno: czy doktór Alen wiedział o projektowanym zamachu na mnie, czy też to była osobista inicjatywa pana Lore?

Henrietta chciała coś odpowiedzieć, lecz nagle wpadła jej w słowa Alicja.

— Naturalnie, że to Edward wymyślił — doktór Alen nie miał z tym absolutnie nic wspólnego.

— Alicjo!

Głos Henrietty Iberra był karcący, gniewny niemal. Towarzyszyło mu spojrzenie zdolne, zdawałoby się, zamienić człowieka w kamień. Alicja spuściła głowę z wyrazem rozpaczy; przestała płakać, ale twarz jej nosiła piętno wielkiego cierpienia.

Komisarz patrzył na nią przez chwilę — na czole zarysowała mu się głęboka zmarszczka: żal mu jej było, równocześnie jednak pasja wnioskowania działała, prowadziła go naprzód, nie pozwalała zagłębiać się w cudze uczucia, zwłaszcza w uczucia przestępców. Nie był przecież teraz człowiekiem prywatnym, lecz funkcjonariuszem prawa, przedstawicielem Republiki.

— Jednym słowem ten zamach to dzieło Edwarda Lore, który uznał, że moje śledztwo może mu przysporzyć kłopotu. Straszenie tego poczciwca Hofmeistera to oczywiście również jego sprawka. Hm. Auto zostało później przemalowane. Niezły pomysł. Ale mniejsza z tym. Proszę teraz powiedzieć mi coś nie coś o zwłokach i o tatuażu. Zawierał on...

— Zawierał on... podjęła chętnie i żywo Henrietta — wyjaśnienie ostatniej fazy reakcji chemicznych, które należało przeprowadzić, aby zrealizować nareszcie wynalazek profesora Galarda.

— Na czym polegał ten wynalazek.

— Była to substancja, wydzielająca niewidzialne promienie, za pomocą których można zabić każdą ludzką istotę w promieniu kilkunastu kilometrów.

— Chcieliście zawładnąć tym wynalazkiem. W jakim celu?

— Cele naszej organizacji są chyba panu dobrze znane? — w oczach Hiszpanki zapalił się blask.

— Chciałbym jednak, żeby pani mi to przypomniała — komisarz był bardzo dobroduszny.

— Za pomocą tej broni chcieliśmy zdobyć wolność i sprawiedliwość dla ludu.

— Hm. Sądzi pani, że dałoby się to zrobić w ten sposób?

— To zupełnie jasne. Lud potrzebuje tylko siły, aby przełamać pierwszy opór tych, co go ciemiężą. Opanowawszy raz władzę, zbudowałby świat na podstawach innych, świat lepszy i szczęśliwszy.

Komisarz pomilczał chwilę.

— To jest zresztą kwestia osobistych pani poglądów, a także — być może — złudzeń. Wróćmy do rzeczy. Wiec zawładnęliście wreszcie tym wynalazkiem i...

— Niestety, nie zawładnęliśmy nim.

— Jakto?

— Na ciele profesora wytatuowano wyłącznie cyfry: rzymskie i arabskie. Był to najwyraźniej szyfr — niestety aż do tąd nie potrafiliśmy go rozwiązać. Mieliśmy zamiar zwrócić się do fachowca, gdy...

— Gdy ja wam przeszkodziłem. Rozumiem. Czy może mi pani zaręczyć, że nie macie tutaj kopii tego szyfru?

— Nie mamy. Alicja spaliła wszystko.

— Chciałbym pani wierzyć. Komisarz zadumał się na długą chwilę, wreszcie przywołał sam siebie do porządku.

— Po przepisaniu szyfru postanowiliście pozbyć się ciała. W tym celu ubraliście je i przetransportowaliście do pasażu Salisburga, licząc, że policja je znajdzie i że pójdzie ono potem do Zakładu doktora Alena. Prawdopodobnie sprawa była umówiona z doktorem. Tak? Czy nie obawialiście się, że doktór będzie mógł również odnaleźć szyfr, wytatuowany na ciele profesora Galarda?

— Nie. Doktór Alen obiecał Alicji natychmiast spalić zwłoki w krematorium.

— A więc panie miały do doktora absolutne zaufanie?

— Alicja — tak.

— A pani?

Alicja Dillon zaczęła nagle drżeć na całym ciele. Henrietta nie odpowiedziała na pytanie, lecz wskazała na nią wzruszając lekko ramionami.

— Jakąż rolę spełniał w organizacji „Świat Nowy" doktór Alen?

— Był naszym członkiem, jednocześnie donosił nam, co się dzieje w policji.

— Czy panie powiedziały mu o odnalezieniu szyfru?

— Nie.

— Dlaczego? Czyżby brak zaufania?

— Edward nam nie pozwolił. Edward nie lubił Alena.

— Czy sądzi pani, że w świetle tego co się stało, ten brak zaufania, żywiony przez Edwarda Lore do doktora okazał się uzasadniony?

W tej chwili Alicja gwałtownym ruchem zerwała się z miejsca i blada jak trup, z obłędnymi oczyma stanęła przed komisarzem. Olbrzymiego wzrostu policjant podszedł szybko i położył jej dłoń na ramieniu. Gromel ruchem ręki kazał mu się usunąć.

— Nie, nie, to łajdactwo! Zbrodniarze, zwierzęta! — głos Alicji przypominał wycie. — Nie próbujcie mi wmawiać, że on, że on... Boże, jakież to potworne, jakież to...

Wybuchnęła straszliwym, rwącym wnętrzności płaczem. Komisarz siedział nadal bez ruchu, Henrietta także nie zmieniła wyrazu twarzy. Płacz stawał się jakimś dzikim paroksyzmem. Komisarz dał znak policjantowi.

— Musimy przerwać przesłuchanie. Wyprowadzić panią do tamtego pokoju, niech się położy — zadysponował.

Po wyjściu Alicji przez długą chwilę panowała cisza. Przerwał ją komisarz.

— Więc jakżeż; był prowokatorem czy nie był? — zapytał bez nacisku. — Jak pani sądzi?

Henrietta wzruszyła ramionami.

— Naturalnie, że był. Wszyscyśmy o tym wiedzieli. Tylko Alicja nie chciała wiedzieć.

— I mimo to...

— Oczywiście. Był bardzo użyteczny. Prowadził podwójną grę jawnie. Pikron potrzebował nas; spodziewał się, że może nam pierwszym uda się zdobyć wynalazek profesora Galarda i dlatego chciał nas mieć na oku. Tolerował nas, wiedząc o nas wszystko, a za to my tolerowaliśmy Alena i jego ludzi. Gra była otwarta — ale niebezpieczna. Sądzę, że pan pokrzyżował im trochę plany swoją interwencją.

— Im?

— Tak. — Pikronowi i Alenowi.

— Ależ oni przecież są po stronie prawa.

— To można pojmować różnie....

Ostatnie słowa Henrietta wypowiedziała tonem zagadkowym.

— Przecież zająłem ten dom w porozumieniu z radcą Pikronem! — komisarz był podrażniony, nie znosił atmosfery dwuznaczności.

— Nie wątpię. Ale może radca nie miał już sposobu, aby pana powstrzymać. On sam nie lubi działać tak gwałtownie. Chociaż...

— Chociaż co? — nastawał komisarz jak dziecko.

— Nic, już nic. Czy mogłabym zapalić papierosa?

— Proszę.

Zapadła cisza. Komisarz był rozdrażniony: ta Hiszpanka uzyskała nad nim przewagę — to nie on prowadził sprawę — sprawa prowadziła jego. Wciąż to samo!

Henrietta paliła w milczeniu, zaciągając się z rozkoszą. — Cóż to za opanowana kobieta — pomyślał Gromel, pełen mimowolnego podziwu. Jednocześnie zmarszczył brwi.

— A więc — wytransportowaliście zwłoki do pasażu Salisburga, doktór przyjechał po nie, tymczasem — jacyś ludzie je porwali. Przez telefon doniosła mi pani, że zrobili to ludzie Hagewanda. Jest pani tego pewna?

— Jak najpewniejsza.

— Na czym pani tę pewność opiera?

— To przecież oczywiste. Partnerów było tylko trzech: my, Pikron, reprezentowany przez doktora Alena i — oni, Hagewand, dowiedziawszy się (od pana zresztą) o porwaniu zwłok, natychmiast domyślił się, kto to zrobił, zaczął węszyć i wreszcie musiał widocznie coś odgadnąć — dlatego właśnie postanowił odebrać nam zwłoki. Udało mu się. Teraz już jest w posiadaniu szyfru.

— Ależ szyfr jest nieczytelny!

(c. d. n.)

Czytelnik uważa, że...,

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO".

Po przeczytaniu drugiego artykułu p. Dominika Horodyńskiego pt. „I like America" doprawdy trudno mi rozumieć, czemu wybrał taki tytuł dla swoich tak krytycznych uwag.

Pomimo, że nie mam pojęcia o pisaniu, pozwolę sobie przesłać moje obserwacje, które w niektórych punktach są zupełnie różne — pt. „I don't like America".

Janina Kolendo.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO".

W tygodniku przedświątecznym z wielką radością powitaliśmy fale nowych wydawnictw, po raz pierwszy od czasu wojny szczelnie zapełniających półki księgarskie. Ku naszemu wielkiemu zadowoleniu ujrzeliśmy tam obok książek ściśle naukowych wydawnictwa popularno-naukowe, a nade wszystko dzieła naszych wieszczów narodowych, a także pisarzy współczesnych. Obok Mickiewicza, Orzeszkowej, czy Prusa znalazł się Iwaszkiewicz, Meissner, Brzechwa, Wasilewska i wielu innych pisarzy dnia dzisiejszego. Przy nabywaniu dzieł ogólnie znanych i cenionych autorów jedynym zmartwieniem są zbyt może wygórowane ceny. Lecz sprawa ta komplikuje się w stosunku do autorów nowszych, których prace po raz pierwszy może ukazują się w sprzedaży. Trudno na ślepo zorientować się w tematyce ich utworów, a tymbardziej w sty lu. Jak dotychczas, jako jedyny wskaźnik służy nam (czytelnikom) sam tytuł książki często bardzo luźno związany z treścią, no i oczywiście... szata zewnętrzna, właśnie z gatunkiem papieru. Uważam. że fakt powyższy nie przynosi bynajmniej zaszczytu autorom. Czy więc nie można by było uniknąć tych niegodnych rozgłosu, małokulturalnych objawów?! Czy nie można zapobiec stanowi, w którym czytelnicy kupują „Życie termitów" zamiast „Wychowania człowieka" (patrz „Wieczór" nr. 357 z dn. 1 stycznia 1948 r.). Warto się nad tym zastanowić. Jednym z wyjść będzie niezawodnie środek stosowany sporadycznie w Polsce, w okresie przedwojennym, a ogólnie przyjęty w wydawnictwach obcych. Chodzi tu poprostu o załączenie do książki krótkiego życiorysu autora, a w miarę możliwości fotografii co nie tylko ułatwiałoby decyzję w wyborze książek, lecz także zacieśniałoby w pewnym stopniu więzy, łączące autora z czytelnikiem. Jest to kwestia, którą przy odrobinie dobrej woli można rozwiązać. Jeśli to jest możliwe, to proszę o opublikowanie mojej wypowiedzi w celu wybadania opinii innych czytelników, a także samych autorów, no i oczywiście... wydawców.

Szelągowski Juliusz

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA" 1948.

Kipling Rudyard: KIM. Przekład autoryzowany Józefa Birkenmayera. Wydanie III. str. VIII plus 340 plus 4 nbl.

Gustawa Jarecka: „LUDZIE I SZTANDARY. Powieść. tomów 2, str. 636. Warszawa, 1947.

Górska Halina: O KSIĘCIU GOTFRYDZIE RYCERZU GWIAZDY WIGILIJNEJ. Zdobiła Maria Hoszpańska. str. 141.

Beylin Kaeolina: MY SAMI! Powieść dla młodzieży. Okładkę i ilustracje projektował S. Hiszpański. str. 106.

Milne A. A.. CHATKA PUCHATKA z ilustracjami Ernesta Sheparda. Przeł. Irena Tuwim. str. 204.

Szelburg - Zarembina Ewa. NASI BRACISZKOWIE, str. 33. Ilustr. Maria Hiszpańska.

Orzeszkowa Eliza MEIR EZOFOWICZ. Wstępem opatrzył Julian Krzyżanowski. Tomów 2. str. 26 plus 428 Warszawa 1948. Wg pism Elizy Orzeszkowej pod red. A. Dragoszewskiego i L. B. Świderskiego. Tom 4. Wyd. Gebethnera i Wolffa z 1938

Jan Radoński

„SKRZYDŁA"

Zamieszczony przez nas artykuł, wyszedł z pod pióra sierżanta - bomb. Jana Radońskiego, który zginął śmiercią lotnika dn. 21 listopada 1944 r. Artykuł poniższy, został po Jego śmierci znaleziony przez przyjaciół i był drukowany bez tytułu 5 grudnia 1944 r. w „Skrzydłach", piśmie żołnierzy polskich sił powietrznych w Anglii.

Jan Radoński ukończył w r. 1931 gimn. im. Jana Zamoyskiego w Warszawie. W 1935 r. otrzymał tytuł magistra prawa na Uniwersytecie Warszawskim, po czym przeniósł się do Wilna, gdzie studiował farmację. We wrześniu 1939 r. zgłosił się na ochotnika do jednostki lotniczej, stacjonującej w Wilnie, z którą przeszedł granicę łotewską. W 1941 r. wstąpił do armii polskiej w Rosji. Do Anglii dostał się w tym samym roku przez Persję i Południową Afrykę. Swe wykształcenie lotnicze uzupełnił w Kanadzie. W czasie pobytu na Bliskim Wschodzie redagował pismo „Przelotem", w Anglii był członkiem redakcji „Skrzydeł".

Jan Radoński był jednym z najlepszych pisarzy lotniczych młodego pokolenia. Zainteresowania literackie przejawiał od najmłodszych lat pracując w „Życiu Szkoły" w gimn. Jana Zamoyskiego, oraz będąc w czasie studiów akademickich współ redaktorem „Akademika Polskiego". Odznaczał się wybitną ciętością pióra, jako felietonista, oraz zdradzał duży talent poetycki. Niestety, cały Jego dorobek zaginął w czasie okupacji. Wśród przyjaciół pozostawił pamięć wspaniałego towarzysza, którego błyskotliwa inteligencja, tryskający życiem humor i ogromne zdolności, pozwalały rokować piękną przyszłość literacką.

* * *

Nie wiem, czy niektórzy czytelnicy, zajęci politycznymi sprawami naszej emigracji, oraz poszukiwaniem okazji do nabycia czegokolwiek bez kuponu, zechcą zwrócić uwagę na ten artykuł. Nie będzie tu bowiem dla nich nic ciekawego. Nikomu nie nawymyślam, ani nie przygadam, jeszcze jednej recepty na „lepszą Polskę" nie podam, polityką też się narazie nie zajmuję.

Jak z tego widać jestem taki, jak wszyscy, zwykły żołnierz, taki, którego się klepie po ramieniu, zaprasza do „ogniska", albo do kina kiedy jest na urlopie w Londynie i: — a ten tego dowidzenia, wpadnijcie do mnie, jak znowu będziecie wolni...

Nie wystarczy jednak odróżniać Marynię Połaniecką od Uniwersału Połanieckiego, aby zyskać zaszczyt pojawienia się na szpaltach pisma, które walczy nie tylko o kontyngent papieru, ale i o poziom literacki. Chwalebna oryginalność na naszym terenie.

Trzy lata w Rosji spędzone też dostatecznie mnie nie uprawniają do pisania. Ostatecznie każdy z nas Polaków tyle miał ciekawych przeżyć, że broń Boże, każdy mógłby książkę napisać i u Kolina wydać. Więcej też jest chętnych do opowiadania, niż do słuchania. Mówił mi jeden pilot, który po skończeniu drugiej kolejki lotów spędził urlop w Londynie, że przez te siedem dni to nawet gęby nie otworzył, takie mu różności opowiadali o czekaniach po kon sulatach, o niepewności ciężkiego losu... To — powiada — wstydziłem się wprost o tych kilku głupich zestrzelonych Niemcach gadać. A cóż ja, taki embrion lotniczy mam mówić? Może o znanych wszystkim tajemnicach wojskowych, żeby cenzura obcięła, albo studium o parkach i bramach londyńskich, żeby mi ksiądz rozgrzeszenia nie dał? Kiedy jednak sam redaktor ugościł mnie pół roku temu wspaniałym obiadem z dwóch dań z kawą i prosił, abym mu coś o lotnictwie napisał, przyjąłem propozycję z entuzjazmem. Powody mego entuzjazmu były dość oczywiste. Po pierwsze mundur lotniczy nosiłem właśnie drugi tydzień, a służba wojenna ograniczała się do obowiązkowej zbiórki, trzy razy dziennie na posiłki. Jasne więc, że czułem się najzupełniej powołany do zabierania głosu w sprawie walk powietrz nych.

Myśl o tym, że znajdę się w gronie polskich dziennikarzy i literatów, tych którzy przechowali „myśli przędze i uczuć kwiaty", którzy mimo wszystkie klęski i upadki nie pozwolili zginąć polskiej kulturze, ale stworzyli na obczyźnie tyle doskonałych wydawnictw, napełniała mnie dumą. Albowiem zdawało mi się, że zamieszczenie nawet najskromniejszego anonsu o zgubieniu parasola w prawdziwym piśmie, pasuje na rycerza pióra. A co dopiero artykuł! Pycha moja była bezgraniczna, a tak przekonywująca i działająca na innych, że nawet mój kapral nie ośmielił się mi dać żadnej, że tak powiem, poniżającej roboty. Odtąd wszyscy, ale nie ja, szorowali ustęp.

Z początku chciałem napisać sześć tysięcy wierszy oktawą o mustrze porannej, o rzucaniu granatem i o zwrotach z przytupem w miejscu, ale potem zarzuciłem ten projekt, przypomniałem bowiem sobie, że już raz coś podobnego w „Skrzydłach" było, a nie spotkałem jeszcze dotychczas faceta, co by to doczytał do końca.

Największa w dziejach świata wojna szaleje, tysiące ludzi ginie codziennie, walcząc o cztery wolności i jeszcze różne rzeczy, w Kirkcaldy otworzono skrócony kurs dla starostów z niższym wykształceniem, zamierzone jest stworzenie nowego Ministerstwa, oraz rozważa się projekt ulepszonego munduru galowego dla pułkowników w stanie chwilowego spoczynku, a ja o takich głupstwach.

Nie! Dosyć tego. Trzeba raz być poważnym. Piszemy o lotnictwie. No dobrze, ale co? W prawdzie zasięg moich lotów nie przekroczył nigdy 20 mil i to na szkolnym typie, więc mam wszelkie dane, aby opisywać mrożące krew w żyłach wypadki walk z Dornierami, o zaciśniętych ustach, o szeptach zaciekłych: — To za Kutno, a to za Rypin! — o wpakowaniu się w sam środek nieprzyjacielskiego samolotu i długim leżeniu w szpitalu, jak to sobie jeden naiwny pan ładnie wykombinował, ale jakoś nie mogę. Po prostu przyjąłem już fason od starszych kolegów i wstydzę się o takich rzeczach nie tylko pisać, ale i gadać. Bo u nas panuje kompletna inflacja słowa. Można powiedzieć, że każdy wstydzi się patetycznego patriotyzmu, jak podartych spodni i takie okrzyki jak: „Bijcie wroga! Do broni! Brońmy każdego guzika!" przyjmowane są z politowaniem i ironią.

Jeśli więc spotkacie dwóch panów w niebieskich mundurach, z których jeden o oczach błyszczących, szlachetnym zapałem, będzie wołał: — Ja chcę natychmiast na Berlin! Ja chcę rzucać na szwabów bomby, boć to święty obowiązek Polaka! — a drugi powie — Albo ja frajer latać, albo mi życie nie miłe! — to o zakład, że pierwszy liczy onuce po magazynach, a drugi odwalił kilkadziesiąt lotów i obecnie nie lata, bo mu brak jakiegoś drobiazgu, ręki, nogi czy tam płuca. Tacy właśnie nadają fason całemu towarzystwu i tacy rykiem wesołym witają filmy, gdzie bohater po wkropieniu się w nieprzyjacielski samolot, udaje wariata w szpitalu, uśmiechając się do tuzina karmelkowych piękności, zamiast wyglądać tak, że i mowy nawet nie ma o wlewaniu przez lejek do trumny.

Wyobrażam sobie, jak taki autor lotniczych nowelek musi pękać ze śmiechu (jeśli sam jest prawdziwym lotnikiem), kiedy każe myśleć swemu bohaterowi o różnych wzniosłych rzeczach, o zemście, o domu rodzinnym w czasie akcji bojowej. Bujda, panowie, bujda na resorach! O tym można myśleć, jak się ma dużo wolnego czasu, jak się mieszka w dużym mieście, jak się ma do dyspozycji.. a przepraszam już nie będę!

To się widzi, to się czuje, to się wie, ale o tym się nie mówi. Ci lotnicy, których spotkałem, to przeważnie tacy zwykli ludzie, jak ich Fiedler, Pomian albo Schiele malują.

Mało do takich ludzi jest się podobnym wstępując do lotnictwa.

Taki jeden z drugim bohater, nadziany jest tanim entuzjazmem, jak angielska kiełbaska chlebem. Taki sam byłem i ja i nawet usiłowałem w granicach królewskiego regulaminu okazać swe niezadowolenie, kiedy zamiast strącania Dornierów, co mi się wydawało zajęciem przyzwoitym dla Polaka, kazali mi zrazu szorować podłogę. O bombardowaniu Kolonii nie było nawet mowy. A potem kazali się uczyć do siódmego potu. W szkołach R.A.F., proszę państwa, trzeba wymienić swój zapas entuzjazmu na codzienną pracę i solidną naukę.

Żeby tam nie wiem jaki patriota pałał chęcią zrobienia ofiary ze swego życia i szeptał z nosem wzniesionym do góry — „Tobie Ojczyzno", a nie uczył się kreślenia plotingów i mylił się na kompiutorze, to go na zbity łeb wyleją, na wieczną hańbę, do referatu oświatowego na urzędnika. No powiedzmy, niższego urzędnika, takiego co to i herbaty z kantyny przyniesie i podłogę zamiecie i w ogóle...

Naukę nawigatorki, podstawowego przedmiotu obowiązującego cały personel latający, określa się jako prawdziwy **job**. No po prostu wszyscy uważają ją za **job**. Nie za pracę ale **job**. Dziwnie to angielskie słowo **the job** tu pasuje. Kto mieszkał na Powiślu, albo niedaleko Placu Kercelego, doskonale to zrozumie.

Otóż ten okropny **job** wielu kolegom spędzał sen z oczu, wiele też dziewcząt czekało na próżno na swoich chłopców na przystankach autobusów i koło kina, bo oni w tym czasie z tym job'em się parali.

Kiedy zbliżał się okres egzaminów, pustoszały lokale rozrywkowe i najlepszy to był czas na, tak zwane, „motanie" dla młodszych kolegów nieobciążonych egzaminami, a niezaradnych przy silniejszej konkurencji.

Dokończenie nastąpi.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna.

Wydawca **Kolegium Redakcyjne**

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel 880-71. Konto P.K.O Nr I-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-45115